PAMIĘTNIK

STANISŁAWA WĘCLEWSKIEGO

BYŁEGO PROFESORA GIMNAZJÓW
CHEŁMIŃSKIEGO I CHOJNICKIEGO

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM

KS. ALFONSA MAŃKOWSKIEGO

WYDAŁA

RÓŻA Z WĘCLEWSKICH ERZEPKOWA

PELPLIN
CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI „PIELGRZYMA" SP. Z O. P.
1 9 3 3

ß. 1,20



Stanisław Węclewski
b. profesor gimnazjów chełmińskiego
i chojnickiego

PAMIĘTNIK

STANISŁAWA WĘCLEWSKIEGO

1820 — 1893

BYŁEGO PROFESORA GIMNAZJÓW
CHEŁMIŃSKIEGO I CHOJNICKIEGO

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM

KS. ALFONSA MAŃKOWSKIEGO

WYDAŁA

RÓŻA Z WĘCLEWSKICH ERZEPKOWA

PELPLIN
CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI „PIELGRZYMA" SP. Z O. P.
1 9 3 3

SŁOWO WSTĘPNE

Profesor Stanisław Węclewski, którego wspomnienia obecnie ukazują się w druku, pochodził z Poznańskiego, ale działalność jego nauczycielska wyłącznie poświęcona była Pomorzu, mianowicie 1850—1874 gimnazjum chełmińskiemu, następnie do 1887 r. chojnickiemu. Uczeń poznańskiego gimnazjum św. Marji Magdaleny, akademik filolog w Bonn, Berlinie i Wrocławiu, uczestniczył w powstaniu poznańskiem 1848; raniony pod Miłosławiem wyleczył się, złożył ostatnie egzaminy, poczem 1850 otrzymał posadę nauczyciela gimnazjalnego w Chełmnie, o którą sam był się starał.

Niewielu profesorów Polaków w zaborze pruskim tak silnie akcentowało przynależność swoją do narodu polskiego i jego kultury, jak prof. W. To nastawienie jego najdobitniej się ujawnia w jego pracy piśmienniczej. Nie zaniedbywał wprawdzie świata klasycznego, ale głównie pisał o rzeczach polskich. Po rozprawie jego o systemie głosowym języka polskiego niemałe wrażenie czasu swego wywarła praca jego o humanistach polskich i o wysokim poziomie kultury polskiej w 16 i 17 wieku. On pierwszy się zajął naukowo Szymonem z Pilzna (Marycjuszem), uczonym profesorem literatury łacińskiej w akademji krakowskiej, później kanclerzem biskupa chełmińskiego Jana Lubodzieskiego, który posiadał Czystochleb pod Ryńskiem i dużo korespondował z biskupem warmińskim, późniejszym kardynałem Stanisławem Hozjuszem. Wydał Klono-

wicza Flis i Szymonowicza Sielanki, oba z objaśnieniami, bez nich zaś Odprawę posłów greckich Kochanowskiego, odkładając powtórne wydanie naukowe na czas późniejszy. Nie dosyć tego. W dobie przedpowstańczej, gdy wielkie nadzieje przywiązywano do gotującej się akcji zbrojnej, przedstawił w kalendarzu Przyjaciela Ludu całość wspaniałego piśmiennictwa polskiego. Poszedł jeszcze dalej, bo redaktorów Nadwiślanina, wtrąconych do więzienia wyręczał jako cichy współzawodnik w podtrzymywaniu pisma, które należytą otoczył opieką. Ducha swego wlewał w umysły i serca młodzieży, zapalając ją miłością spraw ojczystych i przez długie lata był kasjerem i sekretarzem Towarzystwa Pomocy Naukowej. Może ta główne działalność była powodem przesiedlenia go do Chojnic. Stało się to wtedy, gdy rozgorzała na dobre walka kulturna a rząd niemiecki w parlamencie przeprowadził ustawę ograniczającą prawa publiczne języka polskiego do nikłych resztek.

Wspomnienia męża tej miary i tych zasług, co prof. Węclewski, społeczeństwu poznańskiemu i pomorskiemu obojętne być nie mogą. Obejmują one główne lata młodości, ale rzeźbił się w nich charakter i umysł, a „wykuwał żywot cały"; pisał je starzec u schyłku życia. Epoka chełmińska traktowana ryczałtowo, chojnickiej nie zdążył autor zobrazować, dopełnienie konieczne dała pani Róża Erzepkowa. Z tem wszystkiem dużo w pamiętniku spraw i rzeczy interesujących. Dowiaduje się czytelnik np. jak sto lat temu podróżowano, jak sobie radzono urzędowo z podawaniem „szybkiem" wiadomości prymitywnym sposobem, gdy nieznany jeszcze był telegraf dzisiejszy, jak lekarze i społeczeństwo zachowywali się wobec chorych, zapadłych na cholerę. Charakterystyki profesorów gimnazjalnych poznańskich są wybornem uzupełnieniem tego, co o nich pisze prof. Marceli Motty

w „Przechadzkach po Mieście“ (Poznaniu). Ukazują się sylwetki profesorów uniwersyteckich i kolegów akademików Poznańczyków i Pomorzan, obrazy dawnych zwyczajów i obyczajów akademickich. W czasie podróży wakacyjnych i na obcej ziemi nie opuszcza naszego akademika myśl o Polsce; sprawia mu to wielką radość; gdy spotyka rodaków, cieszy się, że „dubiele“ (młyny pływające) znane mu z „Flisa“ odnajduje także na Renie. Stracenie emisarjusza Babińskiego w Poznaniu, własny udział autora w porywie zbrojnym 1848 roku, zwłaszcza pod Miłosławiem, losy powstania opisane przez naocznego świadka i uczestnika, to cenny przyczynek do dziejów oręża polskiego w czasie niewoli. Że rodzinom i osobom życzliwym lub skądinąd dobrze znanym obszerniejsze poświęcono uwagi, jest rzeczą zrozumiałą i w pamiętnikach konieczną.

Za udostępnienie wspomnień zasłużonego pedagoga i męża uczonego szerszej publiczności należy się wydawczyni pani prof. Róży Erzepkowej oraz wydawnictwu „Pielgrzyma“, w szczególności ks. red. Chudzińskiemu szczere podziękowanie.

Lembarg, w kwietniu 1933 r.

Ks. Alfons Mańkowski.

Urodziłem się 10 listopada 1820 r. w Międzyrzeczu, miasteczku nad granicą brandenburską w dzisiejszem W. Księstwie Poznańskiem leżącem. Na chrzcie św. odebrałem imiona: Stanisław, Heljodor, Aleksander, z których pierwszem na mnie wołano. Miałem już siostrę Aurelję, o półtora roku starszą, a później przybyło mi jeszcze rodzeństwa pięcioro: Ludwika, Zygmunt, Kaźmierz, Wincenty i Józef. Siostra Ludwika żyła tylko sześć tygodni, a Wincenty nie doszedł lat trzech. Zygmunt umarł we Lwowie 19 sierpnia 1887, a Józef 12 kwietnia 1889 w Środzie. Pamięcią sięgam aż w najrychlejsze lata. Widzę przed sobą trumienkę, w której złożone było martwe ciałko Ludwiki, a miałem wtedy lat dwa; pamiętam chrzciny Zygmunta, brzmi mi jeszcze w uszach zgiełk uliczny, gdy pewnej nocy tegoż roku 1824 pożar wschodnią część miasta nawiedził. Mieszkaliśmy wówczas u złotnika Lodego w rynku. Domek był drewniany o jednem pięterku. Zaglądałem często do warsztatu starego złotnika, który pracując bez czeladników zajmował się już tylko reperacją powierzonych mu pierścionków itp. skarbów. Przyglądałem się jego robocie, a że starowina lubił gadać i we mnie chętnego znalazł słuchacza, dużo mi prawił o swoich latach młodych i wędrówkach po świecie. Zajmowały mnie prócz tego krzykliwe, bardzo ułaskawione kanarki, lecz przeważnie bawiłem się z wyżłem Fryponem. Przyjaźń ta psia nabawiła mnie z czasem wielkiego wstydu i matkę moją w najfatalniejsze wprawiła położenie. Przechodząc bowiem z nią podczas jarmarku około budki, w

której grzebienie były wyłożone na sprzedaż, głośno zapytałem, czy to tu stąd zabrałem grzebyszek dla czesania Frypona. Odezwanie moje przeszło jeszcze jakoś niepostrzeżenie, bo i ciżba jarmarczna popchnęła nas dalej a może i kupiec po polsku nie rozumiał lub nie dosłyszał, ale mnie za to w domu przykładnie ukarano. Wyrzekłem się od tej chwili przywłaszczenia sobie jakiejkolwiek rzeczy, która do mnie nie należała. Grzebień przez nikogo tak długi czas nie dostrzeżony natychmiast mi odebrano a przywiązanie do psa znacznie się zmniejszyło.

Na tym samym jarmarku podarowała mi chrzestna moja, pani Wrońska duży bąk, który za pomocą sznurka w bieg puszczony dość długo hucząc i bucząc jak cyga się obracał. Byłem jeszcze za słaby, abym go sam w ruch wprawiać umiał. Naprzykrzałem się tedy wszystkim znajomym, którzy koło domu naszego przechodzili, by mi puszczeniem bąka przyjemność sprawili. Aż tu jednego dnia syn pastora ewangelickiego Schoenborna, który z Cylichowy, gdzie odwiedzał gimnazjum, tak zwane pedagogjum, na ferje był właśnie przybył do domu, nawinął się i choć mnie nie znał, wziął bąk do ręki, nawinął sznurek i z wielką siłą puścił w taniec na samym środku rynku. Bąk wyleciał z więzów jak z procy, zahuczał — ale po raz ostatni w swym drewnianym żywocie, bo wpadłszy na ścianę ratuszową rozbił się nieborak. Ach! co to płaczu było! Ojciec zaś wróciwszy ze sądu i słysząc moje narzekanie dodał pamiętną nauczkę, abym się nigdy nie przywiązywał do rzeczy, które tak łatwemu podlegają zepsuciu. I ta nauczka drogiego ojca nie poszła w las, bo tej maksymy trzymałem się dotąd i trzymać się myślę do śmierci. Przekonałem się bowiem częstokroć, że dużo nieprzyjemności i niepotrzebnych gniewów tym sposobem uniknąć można. Jan Kochanowski tą samą zasadą wiedziony w pięknym swym wierszu „O nadzieji“ przestrzega wszystkich, by nie mieli za

stracone, co może być wrócone. Jeszcze u Lodego przebyłem wraz z siostrą Aurelką żarnicę. Wkrótce po przebytej chorobie zaczęto mnie uczyć czytania. Była w Międzyrzeczu jakaś stara pani, nie wiem, czy wdowa czy panna — nazywała się Pogodzińska, co wcale nie odpowiadało jej usposobieniu — do której mię dla nabycia tej sztuki posyłano. Zamiast łagodnie i cierpliwie wtajemniczać dziecko w sztukę poznawania liter i składania ich w sylaby i wyrazy, rózgą i ciągłem fukaniem chciała przelać swoją nieudolną umiejętność we mnie. Zdaje mi się, że — jak to bywa, iż niema tego złego, któreby z czasem człowiekowi na dobre nie wyszło — nabyłem już wtedy w późniejszym zawodzie nauczycielskim tak potrzebnego mi taktu pedagogicznego i doświadczenia, jak uczyć nie należy; i czem odstraszyć, czem zniechęcić można ucznia do nauki. Na częste skargi moje, że ciągle stać lub klęczeć musiałem i ponieważ żadnych nie czyniłem postępów, poznała się wreszcie matka moja na tem, iż się pomyliła w wyborze mistrzyni mojej i oddała mię sześć lat mającego do szkółki pewnej Niemki. Byłem tam jedyny chłopiec między samemi dziewczętami. Chociaż w tej szkółce słowa polskiego nie słyszałem, ale żem w domu doznawał pomocy, bo mi rodzice wszystko na polskie tłumaczyli, łatwo pojmowałem, czego uczono i w krótkim czasie czytać, pisać i rachować się nauczyłem. Uczono nas prócz tego także, jak siedzieć, stać, chodzić, kłaniać się, witać itp. należy, wogóle niezbędnych zasad i przepisów, jak się dzieci zachowywać powinny. Tak np. pewnego razu upadły nauczycielce nożyczki na podłogę; te gdym podniósłszy ostrym końcem podawał do ręki, razem z podziękowaniem odebrałem napomnienie, że żadnego przedmiotu śpiczastego nie wypada w ten sposób podawać, bo odbierający łatwo mógłby się skaleczyć. I ta nauczka nie poszła w las.

Jedenastego maja 1827 r. przełożona szkółki w dzień swych urodzin wyprowadziła nas do ogrodu swego, skąd nad wieczorem dopiero czekoladą, plackami i zimnem mięsiwem uraczeni wesoło wróciliśmy do domu. Dzień ten dla tego mi utkwił w pamięci, że następnej nocy znów wielki pożar nawiedził miasteczko. Już się była wschodnia część miasta ogniem r. 1824 zburzona odbudowała i nowe kamienice jednopiętrowe po obydwóch stronach ulic wyprostowanych stanęły, w jednej z nich na ulicy, prowadzącej przez całą szerokość miasta od kościoła katolickiego wprost do mostu łączącego lewy brzeg Obry z prawym, mieszkaliśmy wtedy. Przenosiny z dawniejszego pomieszkania u Lodego dobrze pamiętam, bo mnie bawiły koziołki, jakie swobodnie po materacach na podłodze leżących przewracać mogłem. Otóż w owej powyżej wspomnianej nocy zbudził nas wszystkich okrzyk: gore. Zbliżywszy się do okna widziałem, jak modry płomyk od szczytu do szczytu domów szkudłami krytych się posuwał. Rodzice obawiając się o nasz dom wysłali co tchu nas wszystkich do państwa Wrońskich, a sami tymczasem zająć się mogli spakowaniem najpotrzebniejszych rzeczy. Ochłonęli dopiero wtedy ze strachu, gdy się okazało, że ogień podmuchem wiatru wschodniego pędzony rzucił się na północno-zachodnią część miasta i oszczędza wschodnią. U Wrońskich byliśmy prawie do południa, poczem wracając do domu na chwilę po drodze wstąpiliśmy do państwa Studniarskich. Tam z okna patrząc widziałem właśnie, jak wieża ratusza runęła na rynek. Wielkie wprawdzie nieszczęście osobiste spotkało pogorzelców, ale miasto samo przez się nadzwyczaj zyskało, bo ulice rozszerzono i wyprostowano, a kamienice murowane stanęły tam, gdzie poprzednio były domki drewniane.

Zimą 1828 r. spadły tak wielkie śniegi, że pomiędzy ścieżkami wykopanemi do szkoły idąc

nie widziałem domów po obu stronach ulicy stojących, a że miałem już lat osiem i nie zbyt niskiego byłem wzrostu, śnieg musiał dochodzić najmniej do jednego metra wysokości. W czerwcu r. 1829 opuściłem szkółkę, do której dotąd chodziłem. Uważano, że mi już innego trzeba trybu kształcenia. Przez kilka tygodni w domu bawiącemu ojciec udzielał lekcyj, czego nigdy nie zaniedbywał, chociaż był obarczony pracą sądową. Zdarzało się, że właśnie kilka tygodni poprzednio w jakimś interesie sądowym wyjechał był do Poznania, skąd przywiózł nam kilka książeczek polskich z obrazkami. Wszystkie bajki Krasickiego, które w nich były umieszczone, tłumaczył ojciec i kazał nam się ich uczyć na pamięć. Umiem je do dziś dnia, tak wrażliwą i trwałą jest pamięć lat młodych. Dyrektor sądu międzyrzeckiego, p. Henke, dowiedziawszy się o tem, że ojciec sam nauką naszą się zajmuje, a osobliwie mnie chciałby przygotować do szkoły jakiej wyższej, pozwolił mi chodzić na lekcje, jakie nauczyciel domowy, p. kandydat Holstein, dzieciom jego udzielał. Była to regularna szkoła, cztery godziny przed obiadem, dwie po obiedzie, w której pierwszych początków łaciny liznąłem, a w języku niemieckim nadzwyczajne zrobiłem postępy. Przez dwa lata korzystałem z nauki p. Holstein aż do owej chwili, kiedy ojca przeniesiono do Poznania. Byłem tak dobrze przysposobiony do gimnazjum, że aczkolwiek wtedy wymagania były daleko większe niż dziś (1889), z największą łatwością zdałem egzamin do seksty gimnazjum ad S. Mariam Magdalenam. Nabrałem też u p. Holstein zamiłowania do historji powszechnej i do geografji. W wieku dojrzalszym dopiero poznałem, ile wdzięczności winienem temu panu. Prócz pilnego wglądania i czuwania nad postępami mojemi w naukach, umiał też młodociany umysł rozszerzyć poglądem jasnym i zrozumiałym na naturę świata i wszystko, co nas o-

tacza. Na przechadzkach tłómaczył gorliwie cuda stworzenia, a że sam z zamiłowaniem zajmował się botaniką i zoologją, wtajemniczał nas w świat cudowny i zwracał uwagę na wielkość Boga i mądrość Stworzyciela naszego. Nastał rok 1830, a w końcu jego powstanie listopadowe. U panien Stychel słyszałem po raz pierwszy marsz „Nasz Chłopicki wojak itd., zdawało mi się, że patrjotyzm mój najlepiej okażę śpiewając pieśń tę głośno czy to w domu, czy wieczorem na ulicy. A cóż dopiero stało się ze mną, gdy doniesiono nam, że o trzy lata tylko starszy odemnie syn sędziego Bajerskiego uszedł z domu, by iść na powstanie. Przez dwie doby chłopca nie było w domu; troskliwi rodzice w pogoń za jedynakiem się udali, a mając pewne poszlaki, którą drogą chłopczyna się udał, nareszcie zmęczonego i prawie skostniałego od mrozów lutowych odnaleźli za Pszczewem na trakcie poznańskim. W tak młodym wieku chciał już służyć Ojczyźnie, ale czego wtedy nie mógł uczynić, uczynił w r. 1848. Przy szturmie Prusaków na miasteczko Książ, w którem formował się oddział polski, przeszło czterdzieści ran od kul i bagnetów odebrał; dyszącego jeszcze przewieziono do lazaretu w Śremie, gdzie po kilku dniach mężnego ducha wyzionął. Requiescat in pace Lucjan Bajerski.

Skoro się o ucieczce jego dowiedziałem, i ja chciałem iść za nim; ale matka pilne mając oko nademną przeszkodziła mi w tym dziecinnym zamiarze. Ale jakiś wojowniczy duch wstąpił we mnie i przez długi czas znajdywałem upodobanie w tem, że z kilkunastu rówieśnikami, uzbrojeni wszyscy w długie piki i szable drewniane wśród ruin starożytnego zamku Międzyrzeckiego w żołnierzy broniących zamku i zdobywających go bawiliśmy się. Na prawem ramieniu mam dotąd widoczną jeszcze małą bliznę od rany zadanej mi piką. Międzyrzecz miano swoje zyskał od te-

go, że tam, gdzie rzeczka mała Paklica, wpadając do Obry tworzy trójkąt, za dawnych przedchrześcijańskich jeszcze czasów wzniesiono zamek strzegący granicy polskiej od strony zachodniej. Mury zamku znacznej są grubości, przechodzącej o ile mi się zdaje trzy łokcie (dwa metry); sklepy obszerne po części gruzami zawalone, a które jeszcze były zachowane, służyły do przechowywania piwa warzonego w tuż obok wystawionym browarze. Klucz międzyrzecki, dawniejsze starostwo, zabrał rząd pruski po ostatnim podziale Polski i darował go jednemu z najczynniejszych agentów pruskich przy obałamuceniu i ujarzmieniu Polaków, hrabiemu Lucchesini. Sam hrabia nie mieszkał tu, tylko miał rządcę, jakiegoś p. Sturtzel. Zamek stał na wyniosłej zapewne ręką ludzką usypanej górze i okolony był pierwotnie kilku fosami, biorącemi wodę z obydwóch rzek; ale jak zamek leżał w ruinach, tak też owe fosy zaszły gruzami, na których warzywne pozakładano ogrody. Otóż tu było ulubione miejsce naszych rycerskich zabaw, aż ich nam zabroniono, gdy się niewinna z początku zabawa zamieniła w rzeczywiste bójki.

W roku 1831 nawiedziła miasteczko nasze cholera, którą wojsko rosyjskie od granic Azji przeniosło do Polski, skąd morderczy swój pochód przez całą zachodnią Europę rozpoczęło. Ponieważ nie znano wtedy jeszcze żadnych leczniczych środków przeciw cholerze, więc starano się przed nią zabezpieczyć odgraniczeniem się, to jest: kwarantanną. Miasta i wsie otaczano strażnikami nie wpuszczającymi nikogo, nie okadziwszy go poprzednio dobrze octem i siarką. Listy nawet przekłuwano i kadzono, aby zarodu choroby do miasta nie wnosiły. Lekarze wchodzili w długich płaszczach z woskowanego płótna, zakrywających całą osobę, od stóp do głowy szczelnie zapiętych; tylko dla oczu pozostawiono w kapturze pokrywającym głowę okrągłe otwory,

a jeden z lekarzy nawet i te otwory zakrył szkiełkami. Przed ustami, gdzie dla oddychania była wycięta dziura, trzymali gąbkę octem napuszczoną. Tak ostrożni lekarze — zdawało się — iż przywołani do chorego, zamiast wnijść i przybliżyć się do niego, z daleka: przez szczeliny drzwi albo przez szybę okien zdawali sąd o chorobie i krople wnętrzności palące zapisywali. Nieboszczyków nawet i wpół żywych jeszcze, wywozili najęci do tego, a ciągle prawie pijani ludzie wózikami strasznie po bruku turkocącymi do głębokich jam na cmentarzach wykopanych i tam ciała wrzucone polewali wapnem gaszonem. Ani księża, ani krewni nie towarzyszyli tym pogrzebom. Więcej niż dwa miesiące panowała zaraza w mieście, a na dobę czasem do dwudziestu ludzi umierało. Strach panował w mieście ogólny; nie komunikowano się z nikim, nie cdwiedzano się nawzajem. Wspominając sobie ten straszny czas podziwiać mi przychodzi nieustraszone męstwo mych rodziców. Oboje bogobojni i wskroś zasadami religji katolickiej przejęci, wiedząc, że śmierci śmiertelny człowiek uniknąć nie może i nikomu bez woli Pana Boga włos z głowy nie spada, zachowywali wprawdzie przepisy sanitarne przez władzę policyjną nakazane, ale nie zapomnieli ani na chwilę o obowiązkach miłości chrześcijańskiej. Gdy dom sąsiedni dla nagłej śmierci dwóch osób zamknięto a mieszkańcom wychodzić na miasto zabroniono — strawę na długich łopatach wsuwano im przez okienko — rodzice moi, czem mogli zaradzali ich potrzebom, podawając im przez płot lepsze potrawy i pocieszając ich to słowem, to uściśnieniem ręki dodawali im otuchy.

W jesieni następnej, umarł nasz braciszek Wincenty, nie dożywszy lat trzech. Było to dziecko bardzo rozkoszne; drobnemi usługami starało się przypodobać rodzicom; np. ojcu wracającemu ze sądu przynosił natychmiast pantofle,

prosząc, by buty z nóg ściągnąć. Pochowano go na cmentarzu katolickim; od bramy cmentarza aż do grobu my starsi nieśli trumienkę na białych ręcznikach. Postawiono mu krzyż drewniany na grobie, który w r. 1841, gdym jadąc na uniwersytet do Bonn wstąpił po drodze do Międzyrzecza jeszcze widziałem.

Tymczasem ojciec nasz ciągłe czynił starania, by go przeniesiono do Poznania. Chodziło mu głównie o to, by synów swych do szkół wyższych mógł posyłać, a tem samem dawszy im gruntowniejsze wykształcenie lepszą dla nich przyszłość zgotował. Starania jego kilkoletnie odniosły wreszcie pożądany skutek, bo od 1 kwietnia 1832 r. powołano go do sądu ziemiańskiego w Poznaniu, dodawszy mu do pensji talarów sto, tak iż odtąd pobierał 500 talarów rocznie.

Lecz nim się myślą do czasów i zdarzeń poznańskich przeniosę, wypada mi jeszcze wspomnieć o częstych naszych wycieczkach na wieś do Borowego Młyna, o podróżach moich do Lubasza do księdza stryja i do innych krewnych, o przechadzkach naszych w bliższe okolice Międzyrzecza itp.

W Borowym Młynie mieszkał p. Gładysz. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, znacznie starszy wiekiem od ojca, od czoła już nieco łysy, z wejrzeniem ujmującem, zawsze wesoły a bardzo pracowity. Majętność jego, niewiem jaki jej był obszar, dość wielką być musiała, bo był panem dworu murowanego, licznych zabudowań gospodarskich, młyna wodnego o kilku kołach kilku dużych ogrodów i pól obsianych po większej części żytem, bo grunta były lekkie; należał do niego kawał lasu sięgającego aż po brzegi jeziora pszczewskiego i duże jezioro w południowej stronie. Dwa te jeziora były połączone szerokim rowem, tworzącym w samym Borowym Młynie stawek, do którego z kół młyńskich z

wielkim łoskotem i szumem wpadała woda. Pan Gładysz miał liczną rodzinę; najstarszy ze synów już prawie był dorosłym. Po prawej stronie dworku izba była przeznaczona na szkołę; trzymał bowiem właściciel w domu swoim starego nauczyciela uczącego dzieci pierwszych początków nauk elementarnych. Pan Gładysz poznawszy się z ojcem, dziwnie się do niego przywiązał; ile razy był w mieście, bywał u rodziców moich i co rok przynajmniej raz jeden na dłuższy czas całą naszą rodzinę zapraszał do siebie. Co to za uciecha była dla nas dzieci, gdy nam powiedziano, że pojedziemy do Borowego Młyna! Nie mogliśmy doczekać się dnia, w którym rano przed domem naszym stanęła furmanka. Dwie mile drogi zdawały nam się wiecznością, bo po piaszczystej drodze, gdzie koła aż pod same osie prawie się wrzynały, konie wlokły się tylko krok za krokiem. Wtedy chcąc prędzej być u celu opuszczaliśmy bryczkę i pieszo chcieliśmy dojść, aliści wkrótce uznojeni siadaliśmy znowu. Ledwieśmy stawali na miejscu, ledwieśmy się ze wszystkimi przywitali, jużeśmy się na wszystkie strony porozbiegali, a przedewszystkiem nęcił nas stawek ze swą czystą wodą. Nie było obawy, aby które z nas utopić się mogło, bo woda była tak miałką, iż w bród przebyć stawek mogliśmy, nie zanurzając się głębiej jak do kolan. Kilka razy na dzień używaliśmy tej kąpieli, a apetyt nasz z dnia na dzień wzrastał. Biegaliśmy do mleczarni, gdzieśmy się raczyli świeżuteńką maślanką, do sadów pełnych drzew owocowych, z których czerwone jabłuszka i żółte gruszki nas ponętnie witały; a jak na śniadanie i na podwieczorek zastawiano plastry miodu, talerze pełne poziomek, agrestu lub malin, to już nie było większej uciechy. Synowie p. Gładysza młodych swoich gości wyprowadzali podczas upałów do cienistego lasu, woniejącego to ziołami aromatycznemi , to żywicą

drzew sosnowych; pokazywali nam gniazdka ptasząt i uczyli je nazywać i poznawać po śpiewie. To znów zabierali nas nad kanał, na raki, lub prowadzili do więcierzy zastawianych na jeziorze i dobywali z nich węgorze ogromnej długości i grubości. Na drabnych wozach jeździliśmy z nimi na pole albo na łąki — cóż to za radość, ileż to wesela i śmiechów było! bodaj to wiek dziecięcy, który trudów i cierni życia nie znając, wszystkiemu się cieszy i drobną rzeczą się zadawalnia. Dziś jeszcze, gdy siedemdziesiąty rok żywota mi dochodzi, z rozkoszą przypominam sobie te chwile i czuję, że człowiek nie posiadający podobnych wspomnień prawdziwie szczęśliwej młodości nie użył. W niedzielę wszyscy razem kilku wozami jeździliśmy do kościoła parafjalnego w Pszczewie. Widzę jeszcze ten kościół na góreczce stojący napchany ludem nabożnym i cmentarz napełniony tymi, co już miejsca w świątyni pańskiej nie znaleźli; słyszę potężny głos organ i śpiew tysiąca wznoszący się do Boga na wysokiem niebie. Pewnej niedzieli, wychodząc po nabożeństwie z kościoła, spostrzegliśmy zbiegowisko ludzi nad brzegiem jeziora. Gdyśmy ciekawością zdjęci zbliżyli się do skupionych ujrzeliśmy ciało topielca. Podczas nabożeństwa młody czeladnik był poszedł się kąpać, a nie znając miejscowości natrafił na głębie i utonął; wydobyto go wkrótce, a że się zdawało, że życie z niego jeszcze nie uleciało, użyto zwykłych sposobów przywrócenia go do życia, a gdy te nie skutkowały, przyciągnięto sikawkę i mocne strumienie wody puszczono mu na brzuch i piersi, ale i to nie pomogło, nie wrócił do życia. Zdaje mi się, że właśnie ten ostatni środek dobił go, jeżeli jeszcze iskierka życia w nim tliła. Lud zaś jednogłośnie mówił, że kara boska spotkała czeladnika, iż w niedzielę zamiast iść na mszę św. i na kazanie, wolał iść się kąpać.

Jeździłem też z ojcem kilka razy do Lubasza w odwiedziny księdza stryja. Najmował ojciec w tym celu zwykle wózek jednokonny; droga wiodła na Międzychód, gdzieśmy popasali i na Wronki, gdzieśmy nocowali. Nazajutrz po przeprawie przez Wartę na promie, wjeżdżaliśmy w las przeszło dwie mile szeroki; ta część drogi była najuciążliwsza, bo nietylko głęboki piasek ale i niezliczona ilość korzeni ją bardzo przykrą czyniły. Znużeni stawaliśmy wreszcie koło południa w Lubaszu. Plebanja obok wspaniałego we dwie wysokie wieże przyozdobionego murowanego kościoła była drewniana; poza nią ogród się spuszczał kilku tarasami do wielkiego błotnistego jeziora, trzciną i rogożą zarosłego a przez miljony żab zamieszkałego. Cmentarz murem ogrodzony otaczał kościół, a za nim rozciągał się park zarosły rozmaitemi krzewami i wysokiemi staremi drzewami. Drogi w parku porządnie utrzymywane wiją się serpentynami, iż trudno znaleźć wyjście z nich, nie natrafiwszy przypadkiem na ujeżdżoną drogę wiodącą z kościoła do pałacu dziedzica. Należał wtedy Lubasz z kilku folwarkami do rodziny Świnarskich. W parku stał okrągły murowany budynek na kształt kaplicy; wystawić go kazała zapewne fantazja dziedzica, naśladując podobne budowle w ogrodach i parkach zamożnych panów, jakie np. w słynnej Arkadji pod Łowiczem później widziałem. Na wschód od pałacu były za ogrodami i obszerną cieplarnią zabudowania gospodarskie, a do nich dotykała wieś, ciągnąca się na około wspomnianego powyżej jeziora błotnistego aż prawie do plebanji. Naprzeciwko zaś plebanji była tak zwana plebanka tj. gospodarstwo księże, ale wydzierżawione, bo ksiądz stryj nie zajmował się osobiście rolnictwem. I tu w Lubaszu wiele rozkosznych użyłem dni młodości. Kilku chłopców wiejskich dobrawszy sobie do towarzystwa bawiłem się z nimi po większej części

w parku; wchodziłem na lewą wieżę kościelną i pomagałem zakrystjanowi dzwonić, sługiwałem do mszy, przyglądałem się, jak organista lał świece woskowe. Działo się to w ten sposób. Na gwoździu w suficie wbitym wisiała na czterech mocnych sznurkach obręcz, z której grube i gęste pęki nitek bawełnianych się zwieszały i pod niemi ustawiono kociół duży z rozpuszczonym woskiem, poczem organista nabrawszy płynnego wosku garnkiem polewał lejąc z góry owe pęki nitek, a gdy u góry wosk tężejący już przybrał żądanej grubości, to coraz niżej aż do końca posuwał się ze swą robotą. Wosk bywał żółty, a świece nie gładkie, bo raz grubsze to znów ciensze. Świec takich używały bractwa, bo najtańsze były, bo właściwie nic nie kosztowały, gdyż parafjanie wosk w ofierze znosili; świece zaś białe kupowano w mieście. Z Lubasza ojciec ze stryjem częste robili wycieczki. Byłem w Poznaniu, ale prócz armat pierwszy raz widzianych nic mi nie utkwiło w pamięci, więcej i dokładniejszych pozostało mi wspomnień z podróży do Widziszewa i do Kiełczewa, bo mię tam wszędzie czule ściskano i całowano; raczono mnie czem chata była bogata i o czem sądzono, że mi przyjemność sprawi np. piernikami, pięknemi owocami i mlekiem zaprawianym miodem. Dalej byłem w Drasku u Pietruszewskich. Ile się to w przeciągu sześćdziesięciu lat zmieniło. Pietruszewscy wyszli z Draska; ich córka najstarsza Julka, o kilka lat młodsza odemnie, żyje jeszcze wraz z mężem Grodzkim w Wągrówcu przy księdzu bracie emerycie (a teraz przy synu doktorze w Poznaniu). Była w czerwcu tego roku w Wrocławiu i odwiedziła mnie. Siostra jej, Emilka, w kwiecie młodości umarła. Chorowała na serce, bawiła u nas w Poznaniu przez kilka miesięcy, gdzie ją sławny dr. Marcinkowski leczył. Z Gulcza, gdzie stryj Kasper znaczną miał posiadłość, także niektóre szczegóły utkwiły mi

w pamięci. W niedziele po obiedzie cała młodzież męska na szerokiej ulicy wiejskiej bawiła się w krąg. Podzieleni na dwie walczące z sobą strony, każdy zaopatrzony w długi kij, starali się krąg, to jest drewniane kółko, mniejwięcej dziesięć cali mające średnicy, jak najdalej odbijać i tym sposobem przeciwną stronę, biegnącą za kółkiem, aż do końca wsi przepędzić. Pierwszy raz w Gulczu widziałem znaczne obszary porosłe prosem, którego ziarna czarne przerabiają na jagły. Obszerne łąki nadnoteckie ustrojone w liczne kopice siana w żywej mam pamięci, oraz tę okoliczność, że na noc wysyłano konie na trawę pod strażą parobków wieczorem ze śpiewem ze wsi wyjeżdżających z nogami obiema po jednej stronie konia zawieszonemi.

Wyborne miejsce do kąpieli było w Międzyrzeczu za strzelnicą w rzece Obrze. Zwykle kilka matek swe dzieci razem wyprowadzały, aby je tam wykąpać i przyjemną im sprawić zabawę. Do przechadzek służyła między innemi wysoka góra za wsią Jerzewem (Georgsdorf), lasek należący do wsi Sorge i szkółka drzew topolowych; czasem zbierały się też liczniejsze towarzystwa na folwarku Lieskiego, gdzie można było dostać kawy, mleka itd. Zanim się ostatecznie pożegnam z miastem mojem rodzinnem wypada mi dodać, że w kilka lat później za kościołem katolickim na miejscu, gdzie poprzednio sukiennicy na licznych rąmach rozwieszali swoje wyroby nad brzegiem Paklicy wystawiono gmach gimnazjalny. Z upadkiem bowiem warsztatów sukienniczych, których fabryki ze swojemi machinami parowemi dobiły, ramy owe stawszy się zbytecznemi ustąpiły miejsca nowemu zakładowi naukowemu, na jakim miastu czternaście mil od Poznania oddalonemu dotąd zbywało. Większa część dawniejszych majstrów wyniosła się do Opatówka pod Kaliszem i do Zgierza lub Łodzi; owi zbogaceni tem Fiedlero-

2*

wie i Zachertowie z Międzyrzecza pochodzili. Kilka lat temu wciągnięto też miasto do sieci kolei żelaznych, co przyczyniło się do powiększenia liczby mieszkańców, jak i ta okoliczność, że przy ostatniej organizacji sądów ustanowiono tu sąd ziemiański i sąd obwodowy.

Ostatni tydzień przed 1 kwietnia r. 1832, którego to dnia ojciec nową miał objąć posadę, na przygotowaniach do dalekiej podróży upłynął. Nie było jeszcze wówczas kolei żelaznych; do Pniew trzeba było jechać drogami zwyczajnemi, a dopiero tam dotarliśmy do szosy łączącej Poznań z Berlinem. Wielkie zatem czynili trudności i ledwie po długim targu najęto dwa wozy pod rzeczy, na i śród których jeszcze mieścić się musieli rodzice, czworo dzieci i służące, razem z woźnicami dziewięć osób. Wreszcie po spakowaniu się i po czułych pożegnaniach z wszystkimi znajomymi puściliśmy się traktem poznańskim do naszej przyszłej siedziby; my dzieci w wesołem usposobieniu, bo każdy nowy przedmiot nas bawił, rodzice zaś smutni po opuszczeniu miejsca, w którem tak długie lata zdrowo i szczęśliwie przebywali i trwożni o przyszłość, jak tam w Poznaniu wystarczą tą małą pensją, z której piąta część prawie miała iść na opłatę mieszkania najętego przez znajomego ojcu, adwokata Jakobiego. Zresztą podróży sprzyjała pogoda, a dnie były jak na ową porę roku dość ciepłe. Na noc stanęliśmy w Pniewach, skąd już raźniej odbywała się podróż, bośmy, jak już wyżej wspomniałem, wjechali na szosę. Między Pniewami i Gajem w połowie prawie drogi do Poznania niezwykły nas uderzył widok, który z początku ogromnego nas nabawił strachu, bo nade drogą stało jakieś wysokie straszydło, machające długiemi ramionami w powietrzu, to unosząc je, to spuszczając, a znów wyciągając lub kurcząc je. Zdawało się, jakoby chciało bronić przejazdu i śmiałków zbliżających się z wozów

strącić i konie pozabijać. Gdybym wtedy już był znał Homera Odyseję, niezawodnie byłbym myślał, że bajeczna Scylla opuściwszy cieśninę Meseńską w Wielkopolsce osiadła. Ale obawa była próżna, bośmy szczęśliwie minęli straszydło, żadnego nie poniósłszy szwanku. Przekonaliśmy się, że to żadne zwierzę żarłoczne, czyhające na życie przejeżdżających, lecz rusztowanie z belek grubych złożone, wysokie jak wieża a zaopatrzone u samej góry w poprzeczne i ruchome ramiona. Dopiero w Gaju dowiedziałem się o przeznaczeniu owych wież. Były to ówczesne telegrafy. W odstępach kilkumilowych a niekiedy i bliżej stosownie do powierzchni okolicy wznosiły się podobne wieże, na których urzędnicy ku temu wyznaczeni w ruch wprawiali owe ramiona, a że każde ramion położenie właściwe sobie miało znaczenie litery, słowa lub liczby, przeto w przeciągu kilku minut udzielić można było wiadomości od wieży do wieży. Ale wnet praktyczna potrzeba i szybki postęp w naukach przyrodzonych inne nierównie doskonalsze odkryły i wywołały sposoby i drogi porozumiewania się osób choćby najdalszą przestrzenią miejsca od siebie oddalonych, to niezależnie od pogody i ciemności nocnych, gdyż dzisiejsze telegrafy elektro-magnetyczne o każdej porze po lądach i przez otchłanie morskie w jednej prawie chwili roznoszą wiadomości od jednego końca świata do drugiego.

Stanęliśmy wreszcie i to jeszcze za dnia, w samo południe w Poznaniu. Na co tylko wzrok mój padł, wszystko wraziło się tak dobitnie w pamięć moją, że dziś jeszcze wszystkie ulice z gmachami ówczesnemi jak na jawie widzę przed sobą takiemi, jakiemi wtedy były. Jak słońca promienie na wiosnę ukryte roślin kiełki z ziemi wydobywają, drzewa i pole w cudną stroją zieleń, taki prawie cudowny wpływ Poznań wywarł na ducha mego. Czułem odrazu, że jakieś

nowe nieznane mi dotąd uczucia ogarnęły mię; byłem dotychczas dzieckiem prawie nieświadomem siebie, które wegetowało jak roślina i tylko wrażliwe było na to, co ciału sprawiało przyjemność lub nieprzyjemność. W mgnieniu oka wyrosłem na młodzieńca, zapatrującego się na świat już nie okiem tylko materjalnem, ale myślącem. Tę metamorfozę zdziałało nie tylko miasto, ale przedewszystkiem towarzystwo i gimnazjum, do którego mię niebawem oddał ojciec. Lecz wracam do wjazdu naszego do stolicy Wielkopolski. Prócz ulic długich i szerokich dwupiętrowemi po większej części kamienicami zabudowanych, uderzyły mię przedewszystkiem wieże, których jeszcze przed miastem na szosie berlińskiej naliczyłem kilkanaście. Na ratuszowej wieży trębacz właśnie, gdyśmy na rynek z wronieckiej ulicy skręcali, ogłaszał południową godzinę, a gdym głowę podniósł i w tył nachylił, bym trębacza ujrzał, zawrotu dostałem, choć na dole byłem, a gdy ojciec nam powiedział, że na samym szczycie wieży zatknięty jest orzeł polski, tom nieomal z radości wyskoczył z bryki. Wszystko wydawało mi się ogromnie dużem; Wartę zaliczyć nie wahałem się do rzek największych, a Chwaliszewo z drobnemi swemi domkami nazwać najpyszniejszą, niemającą prawie końca ulicą. Przewodnikiem przez miasto był nam ojciec, który z lat dawniejszych znając Poznań wprost bez mylenia się naszym dwom woźnicom aż do najętego już pomieszkania na Zagórzu wskazał drogę. Jest to małe przedmieście między Chwaliszewem, arcybiskupim pałacem, rzeczką Cybiną i Wartą na małym wzgórku, jakby na wale jakim położone, składające się z kilkunastu dworków, między któremi górował murowany dworek państwa Gruszczyńskich i do którego zdążaliśmy. Wjechawszy wysoką bramą na czworokątny dziedziniec, którego jedną stronę otaczały stajnie i

inne gospodarskie zabudowania, drugą murowana oficyna, trzecią pokaźniejszy daleko dworek, a czwartą stronę ogród, natychmiast rodzice przywitawszy się z gospodarzem zajęli się przy pomocy furmanów rozpakowaniem wozów i wnoszeniem naszych ruchomości do stancji. Do wieczora ukończono robotę z grubszego i byliśmy pod własnym dachem. Pomocą wielką przy tem zatrudnieniu była matce naszej pani Gruszczyńska, siostra byłego nauczyciela gimnazjalnego pana Maxa Brauna, który straciwszy urząd, bo był wziął udział w powstaniu listopadowem, wraz z żoną i dwoma pasierbami Władysławem i Juljanem Prągowskimi, bliźniętami na pięterku o kilku pokojach szczytowych mieszkał. Zajmował on także balkon, wsparty na dwóch filarach murowanych, a zdobiący właściwy front dworka, wychodzący na południe z widokiem na tamę zabezpieczającą Chwaliszewo od wylewów Warty i na wyrwę głęboką, pozostałą po ostatnim wylewie, kiedy woda przerwała tamę na sto przeszło kroków wzdłuż. Dziś na próżnobyś szukał tej wyrwy, bo zasypano ją i stanęła tam wieża Malakow, należąca do fortyfikacji miasta. Mąż pani Gruszczyńskiej był urzędnikiem w sądzie apelacyjnym, wydziału hipotecznego a tytułował się ingrosatorem. Nieborak kilka miesięcy później zapadł na febrę nerwową i umarł, pozostawiwszy prócz wdowy sześcioro niedorosłych dzieci. Córka Leokadja nieco starsza od mojej siostry Aurelji później, gdy majątkowe stosunki rodziny się pogorszyły, założyła mały kram wyrobów kobiecych z wełny i jedwabiu, przyczem miała skład nici, guzików i t. p. drobiazgów; czy jeszcze żyje, nie umiem powiedzieć. Syn najstarszy Józef nieukończywszy szkół nasamprzód uczył się złotnictwa u Blaua na rynku, przez niejakiś czas miał na Wrocławskiej ulicy własny skład towarów złotniczych, ale ponieważ mu się nie bardzo szczęściło dla

braku funduszów, na wsi przyjmował funkcję pisarza i kasjera. Temu lat z piętnaście ostatni raz go widziałem w Poznaniu, bardzo kuso było około niego. Drugi z rzędu syn Nikazy doszedł do prymy, poczem nie złożywszy egzaminu abiturjenckiego bawił we Wrocławiu niby to jako akademik, wieszał się potem klamki bogatych wdówek, a gdy młodość minęła, został w Poznaniu redaktorem od kozy u niektórych pism. Trzeci syn Albin wyuczywszy się cukiernictwa przez kilka lat miał własną cukiernię w Poznaniu na rogu Garbar i Grobli, ale chorowitym będąc nie mógł sprężyście zajmować się interesem, podupadł i czy żyje jeszcze nie wiem. O dwóch młodszych synach Wiktorze i Dionizym nic więcej nie wiem jak tylko, że jeden z nich miał być piwowarem w Poznaniu. W oficynie, pamiętam, mieszkała w szczycie pani Morawska z córką i synem, który wtedy już był w prymie, a po ukończeniu studjów filologicznych przez kilka lat uczył w gimnazjum ostrowskiem, aż poróżniwszy się z dyrektorem Englerem przymuszonym się widział porzucić służbę pruską. Przeniósł się do Galicji, gdzie, o ile słyszałem, został dyrektorem gimnazjum w Tarnowie. Na parterze w oficynie po lewej stronie mieszkali Kortakowie. On był sekretarzem w konsystorzu arcybiskupim i zostawił syna w Poznaniu kupcem. Oddał mię ojciec do gimnazjum św. Marji Magdaleny, a to do oddziału niemieckiego, ze względu, że wszystkie dotąd nauki pobierałem w języku niemieckim. Egzaminował mnie drugi dyrektor „Studien-Direktor“ Wendt, bardzo uczony mąż; złożyłem popis do sexty, ale przyznać muszę, że wtedy odemnie do tej klasy żądano tyle, ile dziś wymagają od kwinty. Dziś 1889 np. łaciny do seksty wcale nie żądają, a wtedy mnie się już pytano o wszystkie Verba nieregularne. Ordynarjuszem seksty był dr. Schoenborn, syn superintendenta w Międzyrzeczu. Był to tęgi pedagog,

który prócz łaciny uczył jeszcze geografji, i takie umiał wpoić we mnie i we większą część współuczniów moich zamiłowanie do geografji, żeśmy po całej ziemi jeździli z kraju do kraju, od miast głównych do drugich, po morzach, cieśninach itd. Lekcja geografji była dla mnie najmilszą i zwykle pierwsze miejsce na pierwszej ławie zajmowałem, bośmy certowali o miejsca; rzadko kiedy podbił mię jakiś kolega. Bywały też dwie godziny przeznaczone nauce języka polskiego. Udzielał je stary Szumski, bardzo poważna na oko osoba, ale nauczyciel dla młodych niesfornych chłopców za słaby. Rozpoczynał lekcję zwykle wydzielaniem tak zwanych łap, tj. klapsów trzcinką kolejno to w dłoń prawą to lewą, a że nie bolały jego razy, więc malcy wyciągali ręce wołając: „mnie też panie profesorze“. Pamięć miał słabą, nie byłby bowiem pozwalał na powtarzanie tej samej deklamacji po kilkanaście razy. Na św. Michał tegoż roku odebrałem promocję do kwinty. Tu się poznałem z nauczycielami nowymi, Nepellym, Czwaliną i Mońskim. Rok minął szczęśliwie, poczem posunęłem się do kwarty, w której łaciny uczył uczony Beneke. Ten rozgniewawszy się na jakiegoś żyda zwykł mawiać: weź diament do ręki i zostań szklarzem. Religji udzielali X. Wieruszewski i X. Wróblewski, ale my katolicy z niemieckiego oddziału musieliśmy przechodzić do polskiego. W następnym roku nastąpiło utworzenie drugiego, zwykle niemieckiem nazwanego gimnazjum. Kto chciał, mógł pozostać w starym, kto nie, przechodził do nowego. Polacy pozostali. Niemcy i żydzi przeszli do nowego. I ja pozostałem w starem, ale nas egzaminowano, czyśmy zdolni do tercji. Wyznaczono ku temu na łacinę i grekę Dr. Łożyńskiego, który rodem z Chełmna po ukończeniu gimnazjum w Brunsbergu studjował filologję w Bonn, tam złożył egzamin pro facultate docendi roku 1831, a odbywszy tamże

rok próby, roku 1832 powołanym został do Poznania. Drugim egzaminatorem był profesor Gladisch, który w kwarcie był dawał niemieckie, historję i geografję. Profesor Gladisch pochodził z tej samej rodziny, o której już wspomniałem, mówiąc o Borowym Młynie. Był więc katolikiem a jego rodzina mieszkająca w Międzychodzkiem na wpół się zniemczyła. Zamiast Gładysz zaczął się pisywać Gladisch, a na dobitkę został lutrem. Wątpię, czy pomimo uczoności swojej, bez tego zgermanizowania się, byłby został dyrektorem gimnazjum krotoszyńskiego. Posunięto mię do tercji i miałem odtąd przez dwa lata ordynarjuszem Dr. Łożyńskiego[1]). Był to człowiek usposobienia dziwnie słodkiego; nawet ucznia bał się w czemkolwiek dotknąć; a że przytem jako młody i piękny mężczyzna, wysoki i w ubiorze elegancki imponował tem nam, że on pierwszy zaczął do nas po łacinie mówić, od razu go pokochano. Mnie lubił i na św. Michał r. 1836 za jego wpływem odebrałem przy popisie publicznym nagrodę „Atlas świata starożytnego" Reicharda. Na tytułowej karcie wypisano: Praemium diligentiae et bonorum morum Stanislao Węclewski Civi classis Tertiae publice traditum Posnaniae die 1-ma Octr. 1836. Gymnasium Regium ad ss. Mar. Magdal. Stoc. Director. W tercji poznałem prof. Buchowskiego, Mottego i Poplińskiego, każdy z nich był w swoim rodzaju oryginałem. Buchowskiemu przynosił pedel Szal, albo uczeń który, na każdą lekcję w tytce tabaki do zażywania, głos miał chropawy, nie karał, a jednak wszyscy go się bali. Pamiętam jak raz na ucznia jednego o śmiech niewczesny i rozmawianie z sąsiadem rozgniewawszy się swym akcentem polskim krzyknął: Jakoby, ich neme sie und werfe sie zur Thür übern Kopf hinaus!"

[1]) ur. w Chełmnie 1808, po studjach w Królewcu i Bonn prof. gimn. w Poznaniu, 1837—1844 w Chełmnie, gdzie był dyrektorem 1814—1882. Um. 1884. (Dop. X. M.)

Gdy raz Władysław Niegolewski skrzypnął kilka razy ławką, Buchowski sądząc, że to ja robię, bom obok siedział, palcem grożąc mi, gromkim głosem zawołał tylko te słowa: Węclewski! stille Wasser! Motty dawał lekcje języka francuskiego i historji naturalnej. Namiętnie zażywał tabakę a przy poprawianiu ćwiczeń francuskich tyle do seksternów dostało się tabaki, żeśmy z początku myśleli, iż tabaki zamiast piasku używa. Strząsaliśmy tabakę na kupkę i co chwila któryś zamaszyście w klasie kichnął, co naturalnie wszystkich bawiło. Miał profesor ten małą narośl przy wardze dolnej, którą chłopcy glubką nazywali, a stawając przed nim dolną wargę sobie pocierali palcami, o co widocznie się gniewał. Był to mężczyzna wysoki, chudy i zawsze chodził z białą chustką na szyi. Matka żony jego miała pensję panien, a sami Mottowie utrzymywali pensję chłopców. Później bywałem w tym domu, bo profesor Motty wybrał mnie na korepetytora braci Ludwika i Józefa Żychlińskich, a świekra jego zapraszała mię także na baliki, w zapusty dla swych pensjonarek wyprawiane. Na nich poznałem też Walentynę Motty, późniejszą żonę Hipolita Cegielskiego, panienkę nadzwyczajnej piękności. Prof. Antoni Popliński, brat leszczyńskiego profesora, Jana Poplińskiego, zimą odwieczną czamarkę zieloną podbitą futrem z wyłogami również futrem i ze szamerunkiem nosił, chodził zwykle po klasie z głową nieco w tył zadartą i rękami na plecach skrzyżowanemi. Ponieważ trudnił się piśmiennictwem i innemi zajęciami, był redaktorem Orędownika, miał księgarnię i drukarnię, mało zajmował się korektą ćwiczeń polskich, ale pomimo tego błogi wpływ wywierał na uczniów, bo umiał zachęcać nas do pilnego uczenia się literatury polskiej i do stylistyki. Zaprowadził zwyczaj, iż każdy z nas kolejno przynosił do klasy prozą lub wierszem napisaną pracę jaką i głośno czytywał. Kształciło to bardzo uczniów

i nadawało popęd do ciągłego czytania i pisania czegoś. Wkońcu pobytu mego w tercji nastał jako nauczyciel religji ks. Kidaszewski, bardzo uczony człowiek ale nie bardzo dobry pedagog. Religji uczyliśmy się dosłownie z niemieckiego podręcznika Martina na pamięć od lekcji do lekcji po kilka stron; nie wiele z tej nauki było korzyści, osobliwie, że ks. Kidaszewski nie umiejący płynnie mówić po polsku nie umiał przemawiać do serca, a słowa niemieckie odbijały się jak groch od ściany. W Owidjuszu ryczącego i rogatego byka chciał nam uprzytomnić tem, że wyniósł obie ręce po nad głowę i głosem ponurym sam zaryknął. Naturalnie wszyscy pantominę jego naśladując zaczęli straszliwie ryczeć i wyć, tak iż długo trwał w klasie krzykliwy chaos nadzwyczajny. W sekundzie i prymie dostałem się pod panowanie profesora Wannowskiego, doskonałego łacinnika i najpilniejszego z profesorów. Jako urodzony Litwin przeciągał głos i miał niektóre nawyknienia, które pozostały w pamięci wszystkich jego uczniów, ale wszyscy go szanowali, co się najjawniej okazało, gdy w kilkanaście lat później wziąwszy emeryturę opuszczał Poznań i przeniósł się do Gdańska, gdzie syna miał adwokata [2]). Roku 1836 rodzice ze Zagórza przenieśli się do śródmieścia, nająwszy pomieszkanie w kamienicy p. B e r - w i ń s k i e g o, ojca poety Ryszarda na rynku głównym obok pałacu Działyńskich. Na Zagórzu zdrowo i wesoło przepędziłem ja i młodzi bracia cztery i pół roku życia naszego. Spacerów używaliśmy częstych do Kobylopola i do Swarzędza, kąpaliśmy się w Cybinie i puszczaliśmy w jesieni ogromne s m o k i (latawce), do których nam ojciec kupował szpagatu. Z rodzicami wychodziliśmy też przez miasto do Jeżyc i do Flaumowej do tak zwanej Syberji na drodze ku Dębinie.

[2]) Um. 1881 w Gdańsku. (Dop. X. M.)

W ostatnim roku pobytu mego w gimnazjum przyjąłem korepetycję u adwokata Ogrodowicza, gdzie mając większą wolność i kilka talarów co miesiąc w kieszeni, zacząłem się zaniedbywać w naukach, a towarzystwo, w jakie się dostałem, np. tancmistrza Rochackiego i subjekta w handlu winnym Powelskiego i zajęcie się panną Siudzińską, bladą szwaczką, tak mi zaszkodziło, że zamiast ukończyć szkoły na św. Michał r. 1840 dopiero na Wielkanoc następnego roku 1841 zdałem egzamin abiturjencki.

Postanowiłem za zgodą ojca iść na uniwersytet i słuchać filologji. Postarał się ojciec u prezesa naczelnego o stypendjum dla mnie, wynoszące 15 talarów rocznie, na trzy lata, a nadto od generalnego pocztmistrza Naglera o wolny przejazd pocztą zwyczajną aż do Bonn, dokąd się udać zamierzałem.

Dwudziestego trzeciego kwietnia r. 1841 pożegnawszy się z rodzicami i rodzeństwem na podwórzu pocztowem, dokąd mię wszyscy odprowadzili, z zapłakanemi wprawdzie oczami, ale zresztą we wesołem usposobieniu siadłem do „fahrpost", aby wyjechać w daleki świat. Łzy wnet ronić przestałem, bo w tym wieku wszelka nowość zaciera prędko nieprzyjemne uczucia. Ponieważ miałem wstąpić do Międzyrzecza, zboczyć mi wypadło z drogi berlińskiej. Kupiec Jokkisch, któregom naprzód odwiedził, natychmiast posłał do hotelu po mój kuferek i zatrzymał u siebie. Chętnie się zgodziłem na tę propozycję, bo mogłem oszczędzić sobie przez to kilka talarów. Wszystkie miejsca pamiętne mi z lat dziecięcych zacząłem kolejno odwiedzać; towarzyszył mi zwykle syn kupca Gessnera, bawiący właśnie podczas feryj Wielkanocnych w domu rodzicielskim; z dzieci wyrośliśmy obydwaj na młodzieńców, ale koleżeństwo dawniejsze i przyjaźń dziecinna w niczem się nie zmieniły i przypominaliśmy sobie z prawdziwą przyjemno-

ścią dawniejsze zabawy, np. owe bitwy na zamczysku i jakeśmy podczas powodzi we wielkiej wannie na podwórzu Gessnerowskiem jeździli po wodzie i o mało co nie potonęli, gdyż wanna wskutek ruchów nieopatrznych żeglarzy przechyliła się właśnie w tem miejscu, gdzie największa była głębia. Miasto moje rodzinne w tych dziewięciu latach, od roku 1832 do roku 1841 znacznie na korzyść swą się zmieniło, bo przybyło mu gimnazjum, a tem samem więcej mieszkańców, bo kilkanaście rodzin nauczycielskich i znaczna liczba uczniów przybyłych z okolicy pomnożyła liczbę mieszkańców. Jeden z nauczycieli, Schaefer, ożenił się był ze starszą córką Jockischa, panną Ludwiką. Pamiętam, jak pewnego dnia bawiąc w tym domu przez nieostrożność wywróciłem krzesełko z siedzącą na niem Ludwiką, która padłszy w znak znacznie się stłukła. Gdyby mnie wtedy ojciec jej był schwycił, byłbym porządne odebrał cięgi, alem szczęśliwie uciekł, a żem się dopiero po kilku dniach znów pokazał, jakoś moje przestępstwo poszło w zapomnienie. Odwiedziłem też grób Wicusia, ale krzyż drewniany był pochylony i tylko po nim poznałem miejsce wiecznego spoczynku śp. braciszka tak młodo zmarłego. Dowiedziawszy się, że od kilku dni uczy w gimnazjum kandydat Polak z Poznania, p. Marceli Motty, poszedłem do niego, by mu złożyć moje uszanowanie a zarazem dać dowód mojego szacunku, jakim przepełnione było serce moje dla zacnych jego rodziców. Po sześciu dniach opuściłem Międzyrzecz, wynosząc z niego miłe wspomnienia zacnej Jockischów rodziny, która mnie tak gościnnie podejmowała. Na Świebodzin i Cylichowę za własne pieniądze podążyłem do Frankfurtu nad Odrą, gdzie już siadłem znowu do fahrpost. Jak wspomniałem, ojcu memu udało się wyprosić u ówczesnego głównego poczt pruskich dyrektora Naglera bezpłatną po-

dróż dla mnie z Poznania aż do Bonn. Fahrpost na każdej stacji zatrzymywała się dość długo, zwykle dwie do trzech godzin, a w trzech miejscach, to jest w Berlinie, Kassel i Kolonji 12 godzin. Bryka pocztowa kryta z góry i po bokach skórą wewnątrz miała trzy siedzenia na 3 osoby, każde wiszące na rzemieniach a na przedzie czwarte, dla pocztyljona, konduktora i jednego pasażera. Zabierała więc prócz urzędników pocztowych dwóch wymienionych, jeszcze dziesięciu podróżnych. Jazda odbywała się choć wolno, ale bardzo wesoło, bo żadne przedziały wewnątrz bryki nie tamowały swobodnej rozmowy między podróżnymi a dłuższe przestanki na stacjach pozwalały na poznawanie miast i miasteczek, przez które się przejeżdżało. Zmieniło się to teraz, bo podróżny przelatując niejako koło miast nie ma żadnej sposobności poznania napotykanych po drodze miejscowości. Z przyjemnością więc prawdziwą przypominam sobie ową podróż. W Berlinie stanąłem rano około siódmej godziny, a że dwanaście godzin miałem czasu, więc wybrałem się do kolegi szkolnego, Sukkerta, który opuściwszy gimnazjum ze sekundy, udał się do Berlina: by tam poświęcić się nauce i sztuce malarskiej. Wiedziałem od krewnych jego poznańskich, że mieszka na Invalidenstrasse 1, ale doróżkarz dopiero rozpytawszy się u kolegów swych, gdzie ta ulica i potargowawszy się ze mną względem zapłaty, zawiózł mię z Königsstrasse, gdzie była poczta, na miejsce wskazane. Zdawało mi się, że opuszcza Berlin, bośmy wyjechali w pole piaszczyste, aż wreszcie stanął przed jakimś domem oświadczywszy, żeśmy stanęli na miejscu. Co to za różnica między owym czasem i teraźniejszym! Dziś Invalidenstrasse jest ulicą długą, szeroką; brukowaną, pysznemi domami zabudowana a Berlin jeszcze z ćwierć mili po za nią sięga, a wtedy ledwie trzy domy jakby oazy w Saharze jakiej opuszczone i osierociałe stały.

Mieszkał tu rzeczywiście mój kolega szkolny, a to dla taniości; płacił za pokoik o jednem oknie na drugiem piętrze półtora talara. Zastałem go przy kawie czarnej, którą sam sobie uwarzył i bez cukru i śmietany spijał. Nieprzyzwyczajony do podobnego napoju, odmówiłem przyjęcia podanej mi szklanki, spodziewając się lepszej w mieście, boć czułem grosze w kieszeni. Uskromiwszy się ze wszystkiem w stancyjce dopiero wyszedł wraz ze mną. Po drodze prowadzącej przez przedmieście Oranienburskie i Frydery-kowską ulicę do Lip idąc wciąż ku południowi dopiero tutaj skręciliśmy na wschód koło zamku królewskiego, zapuściwszy się przez Bruder-str. w zaułki ciasne i brudne najstarszej części miasta, zwącej się kolonją nad Sprewą, doszliśmy do owego domu, w którym mieściło się atelier nauczyciela jego w malarstwie. Z umysłu zaprowadził mnie tu dotąd, a to po pierwsze, abym podziwiał jego studja rozpoczęte i ukończone; po drugie, by na cały dzień wziąć urlop, a po trzecie, bym od razu nabył o rozległości Berlina dostateczne pojęcie. Dopiero teraz pokrzepiwszy ciało znużone śniadaniem zaczęliśmy używać swobodnej pogawędki, odwiedzając muzeum sztuk pięknych i zaglądając za Bramę Brandenburską do zwierzyńca. Jak ptaszki wolne bujaliśmy, gdzie nas oczy niosły; od chwili do chwili karmiąc głodne żołądki po skromnych restauracjach, bo do zbytkownych hotelów i kawiarni odradzał mi wchodzić woreczek nie bardzo pękaty i mający starczyć jeszcze na długo. Ja pomimo nocy w wozie pocztowym przepędzonej czułem się dnia tego dziwnie rzeźwym i nie męczyłem się bieganiem całodziennem, ale kolega mój już ledwie nogę za nogą się wlókł, aż żal mi go było, że się dla mnie tak poświęcał. Zjadłszy jeszcze razem kolacyjkę i pożegnawszy się z nim, obiecując mu, iż gdy będę wracał z Bonn znów go odwiedzę, siadłem do bryki pocztowej, aby jechać aż do Hali nad Salą,

gdzie postanowiłem odpocząć sobie porządnie i nowych do dalszej podróży nabrać sił. Ale nie zawsze to się dzieje, co i jak sobie człowiek postanowi. Zamiast spać gawędziło się przez całą noc; prócz mnie bowiem jechało jeszcze sześciu młodych ludzi, którzy także złożywszy dopiero co egzamin dojrzałości, udawali się do Bonn na uniwersytet. Pamiętam nazwiska trzech; było dwóch braci hrabiczów v. Finkenstein i Plehn, syn obywatela, wszyscy trzej z Prus Zachodnich[3]). O ile dwaj pierwsi byli ludźmi przyjemnymi, o tyle wstrętną mi była od pierwszego wejrzenia fizjognomja tego p. Plehna. Zdaje się, że i odwrotnie ja mu się nie podobałem, bośmy sobie przycinać zaczęli, a stosunek ten nieprzyjazny trwał przez cały rok, który w Bonn przepędziłem, aż ostatecznie do zbrojnej między nami przyszło rozprawy, o czem w swojem miejscu zdam bliższą relację.

Młodych ludzi po złożeniu egzaminu dojrzałości w języku akademickim u Niemców nazywają mułami, później akademików w pierwszem półroczu pobytu na uniwersytecie lisami, w drugiem półroczu przypalonymi lisami (Brandfuchs) a dopiero od trzeciego półrocza (semestra) począwszy, burszami. Przybyliśmy przed wieczorem jeszcze nazajutrz do Hali, gdzie i reszta kolegów nowych dzień jeden lub dwa zabawić postanowiła; przyobiecaliśmy sobie, że już razem aż do Bonn odprawimy podróż. W Hali znalazłem akademika Jaenickiego, którego mi w Międzyrzeczu odwiedzić proszono i któremu moją wizytę rodzice jego anonsowali. Był to syn piekarza, u któregośmy w Międzyrzeczu przez dwa lata mieszkali. Był on o kilka lat starszy odemnie a w Cylichowie ukończywszy pedagogjum już w czwartym semestrze słuchał teolo-

---

[3]) Finkensteinowie byli i są właścicielami Schoeneberga i Rycwałda (Herzogswalde) pod Iławą w pow. suskim, Plehnowie byli lub są w Kopytkowie, Bielsku, Wyrębach, Krastudach, Lubochiniu i indziej. (Dop. X. M.)

gji ewangelickiej w Hali, dokąd z Wittenberga przeniesiono uniwersytet. Jak Wittenberg był luteranizmu początkiem, tak Hala przejąwszy spadek po swojej poprzedniczce była i jest dotąd głównym filarem naukowym luteranizmu. Głównie też teolodzy luterscy składali poczet akademików, dopiero w najnowszych czasach zaczął uniwersytet ten słynąć też z medycyny. Z Jaenickim, z którym się w 1841 roku rozstałem, odświeżyłem znajomość; przyjął mię na noc do swojej kwatery, oprowadził wszędzie i pokazywał osobliwości. Do tych należała część południowo-zachodnia miasta, w której znajdują się warzelnie soli, a ludzie trudniący się tą pracą, dawniej Słowianie, z czasem zgermanizowali się i nazywają się Hallorami. Mają swój osobliwszy strój, spodnie i kamizelki kolorowo wyszywane, surduty długie i kapelusze trójgraniaste. Mają przywilej towarzyszenia przy pogrzebach, przy czem bardzo poważnie wyglądają z cytryną w ręku, która dwojaką im oddaje przysługę, bo rzeźwi podczas pogrzebu zapachem swym, a po pogrzebie kwaskiem swoim w ponczyku. Sławnym jest instytut Frankego, który powstawszy li ze składek, służy celom teologiczno-luterskim. Z czasem doszedł instytut ten do znacznego bardzo majątku; mieści bowiem w sobie rozmaite szkoły od najniższych elementarnych klas żeńskich i męskich, domy sierót dla obojga płci; gimnazjum, bibljotekę, drukarnię, aptekę, szpital, ogrody itd. Wszystkie zabudowania razem wielką część miasta zajmują i setki urzędników z rodzinami żywi zakład ten. Sieroty chłopcy i gimnazjaści odznaczający się dobrym głosem chodzą po mieście i przed domami dobrodziejów śpiewają pieśni nabożne, tak zwane chorały na 4 głosy. Śpiew ten prawdziwie artystyczny, i nim przyczyniają się śpiewacy do powiększenia dochodów dobroczynnego zakładu. Chodzi z nimi ich nauczyciel, a wszyscy, nawet 9-letni chłopcy w czarnych

sukiennych ubiorach z cylindrami na głowie. O kilkaset kroków w północno-zachodniej stronie miasta są nad rzeką Salą skały z ruinami zamku (dziś domena rządowa) Giebichenstein z malowniczym widokiem na rzekę, kilka ostrowów zadrzewionych i obszerne łąki. Nazajutrz pod wieczór wyjechałem znów z nowymi kolegami dalej w drogę. Okolica coraz pyszniejsza, bo się Turyngja ze swemi górami, zamkami i dolinami rozpoczęła. Nie zmrużyliśmy prawie oka, bo noc jasna w czarownem wszystko przy blasku księżyca przedstawiało świetle. O 3-ciej godzinie rano stanęliśmy w Eisenach, blisko zamku Wartburg. W zamku tym ukrywał się przez kilkanaście miesięcy Marcin Luter i dokończył tam tłumaczenie Biblji na język niemiecki. Ponieważ poczta dopiero o 9 godzinie dalej jechać miała, — więc mając 6 godzin czasu puściliśmy się z przewodnikiem na Wartburg. Pod górę prawie pół mili drogi szliśmy. Poranek był piękny i ciepły. Przeszedłszy przez most zwodzony i kilka bram ujrzeliśmy się na obszernym dziedzińcu, gdzie za czasów rycerzy średniowiecznych odbywały się turnieje. Stróż zamku powiódł nas potem dalej do zamku. Właściciele teraźniejsi książęta Sasko-Koburscy wielkiego nie żałują nakładu na odnowienie zamku i zewnątrz i wewnątrz. Prócz historycznego owego pobytu Lutra pamiętny też jest zamek jako miejsce pobytu i cierpień i cudów św. Elżbiety, także zawodami śpiewaków, tak zwanych Minnesaengerów, dzisiejszemu pokoleniu w operze tegoż nazwiska przez Wagnera przed oczy wystawionych. Dla tego też w teatrach znaczniejszych, mających dekoracje do czasu i przedmiotu zastosowane, widać ową pyszną salę, w której się owa walka odbyła. Myśmy wtedy widzieli początek restauracji tej sali; dopiero sufit był ukończony. Malowanie i pozłota bogata na drzewie, bo sufit w kształcie beczkowym deskami wybijany. Wnijścia do sali strzegą figury rycerzy w pan-

cerzach. Z krużganku jednego weszliśmy do celi nie bardzo obszernej z pięknym widokiem na stoki góry lasem gęstym porosłej i dalej na doliny, wsie i miasteczka. W tej celi miał mieszkać Luter, stał tu stół grubej roboty, przy którym pisał a na ścianie widna była plama czarna, bo jak legenda powiada, Luter na djabła kuszącego go kałamarzem miał rzucić! Plamę tę od czasu do czasu odświeżają, aby pamiątka nie zaginęła, a stróż za pokazywanie tej osobliwszej pamiątki miał dochodzik. Z Eisenach pokrzepieni kawą i śniadankiem mięsnem jechaliśmy dalej do Nordhausen, miasta sławnego żytniówką, wódką mocną pod nazwą Nordhäuser w całych Niemczech znanej. Zjadłszy tu już dość późny obiadek na poczcie zwiedzaliśmy główniejsze ulice miasta, pozwalając sobie pustoty nie jednej; kłanialiśmy się np. każdej panience siedzącej przy oknie. Nad wieczorem ruszyliśmy w drogę dalej, a że noc była ciemna po stacjach podczas kilkogodzinnego przystanku zamiast wyjść na ulice, zostaliśmy w ekspedycji pocztowej i graliśmy w karty, zabawiając się niewinnym wistem, którego wtedy pierwszy raz się zacząłem uczyć. Rano stanęliśmy w Kassel, a że poczta dopiero o 10-tej wieczorem dalej miała jechać, więc cały dzień pozostał nam wolny do zwiedzenia miasta i oglądania jego osobliwości. Ponieważ kilkanaście lat później raz bawiłem w Kassel i wtedy z większą wygodą mógłem obejrzeć sobie wszystko, więc tu na tem miejscu nie zapuszczam się w opis miasta, tylko po krótce wspomnę, żeśmy się tu wybornie zabawili i że nam piwo Kassler Felsenbier wybornie smakowało. Po obiedzie kilka godzin przespałem, bo zbyt znużony się czułem po dwóch nieprzespanych prawie nocach, przechadzką na Wartburg, po przechadzkach w Nordhausen i Kassel. Okolica nie przestawała mię zajmować, ciągle góry, lasy, doliny przepełnione wioskami i miasteczkami. Przed Waldek, stołecznem miastem

księstwa tegoż nazwiska spotkaliśmy dwa pojazdy z całym dworem książęcym. Nic szczególnego nie dostrzegłem, piękne pojazdy zaprzężone w cztery konie, służba w liberji i wesołe twarze dzieci obok rodziców. Wyglądało to wszystko tak, jak kiedy u nas majętny obywatel z rodziną wyjeżdża na spacer. Miasteczko małe o kilku tylko tysiącach mieszkańców; pałac jak dwór szlachecki o piętrze, krytem szkudłami (gontami) ale przed nim stały, o ile pamiętam, cztery armaty. Do wojska związku niemieckiego (Bundeskontingent) dastarczało to państewko tylko 500 pieszych. Przejeżdżaliśmy potem przez wiele małych, dobrze zabudowanych miasteczek, ale i przez wielkie miasta fabryczne, np. Iserlohn, Barmen, Elberfeld, aż nareszcie 8 maja stanęliśmy w Kolonji nad Renem. I w tem mieście 12 godzin czekałem na dalszą jazdę, ale bynajmniej przykrem mi nie było to czekanie. Mogłem bowiem wygodnie obejrzeć całe miasto, chodzić nad brzegiem Renu, przejść przez most na pontonach pływających do Deutz, miasta na prawym brzegu rzeki leżącego a nadewszystko z wszelkim spokojem oglądać i podziwiać sławny tum koloński. Wtedy dopiero presbiterjum było całkiem zewnątrz i wewnątrz wyrestaurowane, nawa główna i boczna jeszcze czekały restauracji, szyb w oknach nie było w nich jeszcze malowanych a wieże niedokończone mało co ponad dach głównej nawy wzniesione; na samym szczycie jednej wieży sterczał żóraw do windowania ciężarów, jak to na obrazkach dawniejszych, przedstawiających tum, widać. Byłem też na galerji otaczającej w koło dach tumu; widok z tej wysokości przepyszny. Nazajutrz około południa byłem już w Bonn.

Tyle się podczas całej podróży dziwacznych nasłuchałem opowiadań o stosunkach panujących w tem mieście uniwersyteckiem, iż szczerze wyznaję ze strachem niemałym wjeżdżałem na dzie-

dziniec pocztowy. Widząc dużo ludzi, osobliwie młodych w krótkie różnobarwne kurtki z kolorowemi czapkami ubranych, już myślałem, że może gwałtem do swego towarzystwa wciągną, do knajpy swojej zawiodą i przymuszą do nich się zapisać! Strach się wzmógł, gdym spostrzegł, iż człowiek jakiś w białych płóciennych pantalonych, aksamitnym surducie i takiejże furażerce przy moim kuferku stanąwszy, postawił go i snać na pana jego oczekiwał. Z duszą na ramieniu przybliżyłem się wreszcie, aż tu ów tak straszliwy dla mnie człowiek zagadnął mnie po polsku, czy to mój kuferek? Pierwszy więc głos, którym mnie w Bonn przywitano, był polski i ledwie z radości się nie rozpłakałem. Okazało się, że to wcale nie był akademik, tylko fagas akademików, ubierający się w darowane mu rzeczy; nazywał się Fryc, pochodził z Księstwa Poznańskiego, a ukończywszy tu nad Renem służbę wojskową, ożenił się z Niemką i osiadł w Bonn. Gdym potwierdził, że to rzeczywiście mój kuferek, wziął go natychmiast na ramię i rzekł: proszę, chodź Pan ze mną, poprowadzę Pana do stancji, którą zapewne najmniesz. Nie należy się dziwić, iż Fryc przemówił do mnie po polsku, bo wówczas na każdym kuferku lub paczce oddanej na pocztę musiało być wyraźnie umieszczone imię i nazwisko właściciela i skąd przybywa. Łatwo tedy mógł przypuścić, czytając: Stanisław Węclewski aus Posen (z Poznania) żem Polak. Szczęśliwie więc natrafiłem na człowieka tak usłużnego; pół godziny nie trwało, a już miałem stancję na pierwszem piętrze na Bonngasse u blachnierza, naprzeciwko gimnazjum. Zgodziłem się na 4 talary miesięcznie z usługą; miałem pokoik narożny o dwóch oknach i mały alkierzyk do spania. Fryc pozostał moim sługą przez cały rok; za talara miesięcznej opłaty, chodził co dzień rano, czyścił rzeczy i zlecenia, jakie mu dawałem, wypełniał. Pierwszego i drugiego dnia oprowadzał mię wszędzie; wska-

zał uniwersytet, zaprowadził na sekretarjat czyli kwesturę, gdziem się zgłosił jako świeżo przybyły akademik, wskazał mieszkania profesorów, u których chciałem przyjąć kolegja, a ostatecznie zaznajomił mię z kupcem Polakiem Józewiczem. Kupiec ten miał skład wprawdzie tylko kolonjalnych towarów, ale prócz tego wszystkiego można było u niego dostać. U niego spotkałem i poznałem też kilku Polaków, którzy studja odbywali w Bonn. Byli to Władysław Niegolewski, mój szkolny kolega z Poznania, dwaj bracia stryjeczni. Twardowscy, z których jeden blondynek z głosem piskliwym, sędzią był później przez długie lata w Szamotułach, a drugi brunet z Kobelnik pod Szamotułami, który tu odbywał służbę jednoroczną przy ułanach. Później znalazł się także jakiś Rembowski z Księstwa, który pieszo przywędrował do Bonn z ciężkim kijem żelaznym w ręku; którym byłby mógł człowieka od razu na miejscu zabić. Mało komu się udzielał i nie długo bawił w Bonn. Spotkałem go później w Wrocławiu, gdzie w fabryce ślusarskiej jako czeladnik pracował. Co się z nim stało, nie wiem. Byli też jeszcze w Bonn dwaj Raczyńscy, Rogier, syn hr. Edwarda z Rogalina, z którym się dopiero w rok później w Berlinie bliżej zaznajomiłem, i brat jego stryjeczny, syn posła i właściciela galerji obrazów w Berlinie, który podobno nie umiał po polsku. Czy prawda nie wiem, bom go bliżej nie poznał. Rok życia, który przepędziłem w Bonn do najpiękniejszych zaliczyć mogę, bom, zaczął kosztować zupełnej swobody, z żadnemi troskami nie mając do walczenia. Z góry zaś sumiennie oświadczam, że pomimo licznych rozrywek, jakich pobyt w Bonn dostarczał, pilnie chodziłem na kolegja i codziennie oddawałem się studjom filologicznym. Korzystałem z bibljoteki według sił i możności, a gorliwości tej zawdzięczam osobliwie, iż później przeszedłszy dużo przygód i nieszczęśliwych kolei, zdołałem

jednak złożyć taki egzamin, że od kandydatury począwszy posunąłem się aż na miejsce pierwszego wyższego nauczyciela gimnazjalnego. Co do rozrywek pamiętnemi pozostały mi następujące: Odwiedziłem podczas Świątek Siedmiowzgórze naprzeciw Bonn położone, oraz wyspę na Renie Nonnenwerth, gdzie bawiła zakonnica, która wierność zachowując narzeczonemu, wolała zamknąć się w klasztorze, niż za wolą krewnych wyjść za innego, gdy kochanek przez długie lata z wyprawy do Ziemi świętej nie wracał. Widziałem też pozostałą ruinę zamku Rolandseck, gdzie właśnie ów rycerz Toggenburg codziennie, powróciwszy z niewoli Saracenów przy oknie siedząc wpatrywał się w ów klasztór, za którego furtą wierna kochanka poświęciła się była służbie Bożej.

Podczas wielkich feryj puściłem się pieszo przez siedmiowzgórze na miasto Siegen, główne miasto ziemi żwanej Sauerland na Wetzlar. Giessen, Frankfurt nad Menem, Moguncję, Mannheim aż do Karlsruhe, stamtąd z powrotem na statku parowym Renem. W Siegen zastałem dwóch kolegów szkolnych z Poznania, którzy karjerze pocztowej się poświęciwszy, przypadkowo razem tam byli zatrudnieni na poczcie. Ci mię tam z wielu rodzinami zapoznali, które usłyszawszy, żem Polakiem, z wielką i nadzwyczajną mię przyjmowały czcią. Wyprawiono dla mnie kilka podwieczorków, spacerów i balików. Wyniosłem ze Siegen bardzo miłe wspomnienie. Miasto nie wielkie, mieszkańcy po większej części górnictwem i garbarstwem się trudnią. W Wetzlar, dawniejszej siedzibie głównego sądu Rzeszy Niemieckiej, zajęły mię starożytne budowle, ale że nie miałem tam nikogo znajomego, po kilkugodzinnym pobycie dalej wyruszyłem do Giessen. Ponieważ to były ferje, więc mało zastałem tam akademików, tylko na szczęście moje zaznajomiłem się z dwoma braćmi z Meksyku pochodzącymi, którzy u sławnego Liebiga chemji słu-

chali a dla dalekiej drogi na ferje do domu nie odjechali, pozostali w mieście. Nazywali się Ortigosa. Majętni i dobrze wychowani szczególniejszą przyjaźnią i opieką mię otoczyli, do swojej stancji przyjęli i przez trzy dni mię ugościli. Kilka wycieczek wraz ze mną podjęli w okolicę, z których pamiętną mi jest wycieczka na Hardt. Jest to góra z oberżą, w której zwykle akademicy się zbierali i komersowali. Czule z tymi Hiszpanami, alias Meksykańczykami się pożegnawszy, do Frankfurtu nad Menem jechałem omnibusem. Tu stanąwszy w hotelu du Sion i wyspawszy się po całonocnej podróży zacząłem zwiedzać miasta jeszcze wolne. Widziałem sławną salę Römer, kościół i tum, ulicę żydowską tem sławną, że górne piętra domów wysuwając się o kilka stóp nad parter widok nieba prawie niemożebnym czynią, bo u samej góry tak się zbliżają do siebie, iż mieszkańcy ręce sobie prawie podawać mogą. W tej ulicy jest dom, gdzie pisarz niemiecki Boerne się urodził; widziałem też na ulicy Zeile dom, gdzie Goethe się urodził. Ułatwił mi wszystko kolega z Bonn, z którym w jednym domu mieszkałem w pierwszym semestrze, Kloos, syn tutejszego doktora bardzo poważanego. Byłem w tym domu też na obiedzie. Przez pięknie zabudowane miasto Mannheim, w którem poeta niemiecki Schiller wystawił po raz pierwszy swój dramat „Zbójcy", dostałem się do Karlsruhe, stołecznego miasta Badenji. Miałem rekomendację do dwóch słuchaczy akademji politechnicznej; przyjęli mię gościnnie do swojej stancji i wiernie się wywiązali z obowiązku na siebie przyjętego być mi w obcem mieście tak zwanym „Cicerone". Wspomnę tu o przygodzie, jaką w Karlsruhe miałem. Otóż trzeciego dnia pobytu mego tamże, gdym siedział z dwoma towarzyszami mymi po wieczerzy w restauracji, do której technicy prawie wszyscy uczęszczali, przystąpił nagle jakiś technik, nazwiskiem Wendt do stołu mego, chłopi-

sko o głowę prawie wyższy odemnie, i próżny kufel mi pokazując, wrzasnął: piję do ciebie. Było to według zwyczajów akademickich srogą obrazą, więc najspokojniej rzekłem mu: głupiś! (du bist ein dummer Junge). Wiedziałem jakie będzie następstwo mego słowa. Nazajutrz rano, jeszcze leżałem w łóżku, przyszło dwóch Wendta przyjaciół wyzwać mię na pojedynek. Moi gospodarze przyjęli natychmiast rolę moich sekundantów; ułożono się o warunki tegoż i o czas, kiedy nastąpić miała rozprawa. Już po obiedzie wsiedliśmy do doróżki i wyjechaliśmy o milę drogi do wsi Knilingen, blisko Renu położonej, gdzie w małym gaiku zwykle podobne godzono zajścia. Prawie równocześnie z przeciwnikiem moim i jego towarzyszami tam się spotkaliśmy. Ponieważ nie chciałem cofnąć mego orzeczenia: głupiś, a on nie chciał oświadczyć, iż mię obrazić nie chciał, poczyniono przygtowania do pojedynku. Mieliśmy się bić rapierami; opatrzone były w tak zwane kosze, zasłaniające pięść, dzierżącą broń, daleko lepiej, niż dzwony, jakich w środkowych Niemczech używają. (Pierwsze nazywają się po niemiecku Korbschläger a drugie Glockenschläger). Ja w Bonn w uniwersyteckiej sali fechtunków od kilku tygodni dopiero uczyłem się sztuki szermowania t. j. sztuki krzyżowej, więc nie miałem wielkiego zaufania do siebie, osobliwie mając do czynienia z wyższym i tęższym fizycznie człowiekiem, ale animusz mię nie opuścił, gdyż mię i sekundant mój Daniels zapewniał, że niebezpieczne razy swoim rapierem pochwyci lub odbije. Pojedynkującemu się bowiem stawa do boku po lewej jego stronie sekundant z rapierem w ręku, aby ciosy wymierzone na jego klienta własnym swym rapierem chwytać i wstrzymywać. A miałem wybornego sekundanta, o czem się dopiero później dowiedziałem, bo mi powiedziano, że Daniels do najzawołańszych rębaczy między technikami należy. Lecz wprzód powinienem toaletę opisać, w

jaką mnie ubrano do rozprawy. Gdym zdjął surdut przypięli mi rodzaj fartucha skórzanego na cal wywatowanego na ciało; zakrywał pierś i brzuch, a dwa końce jego, jakby nogawki zakrywały jeszcze nogi aż do kolan. Wyglądałem jak niedźwiedź obandażowany. Pod pachą prawej ręki przymocowano rodzaj poduszki, która miała zabezpieczyć od przecięcia arterji axiliaris. Szyję zakrywała binda również skórzana i wywatowana; na głowie była lekka czapeczka z małym rydelkiem a ręce tkwiły w grubych skórzanych rękawicach ze sztylpami. Cały ten strój cudaczny na to obliczony, aby nie zachodziły rany śmiertelne. Rzeczywiście do nadzwyczaj rzadkich przypadków należy, jeżeli pomimo tych asekuracyjnych środków jaki nieszczęśliwy przypadek się wydarzy, ja przynajmniej o żadnym nie słyszałem. Jedynie twarz i głowa wystawione są na razy, a i te zgrabny sekundant odbić i wstrzymać potrafi. Stanąłem wtedy po raz pierwszy na macie, gdzie odwaga broni honoru; daleko lepszy to zwyczaj u Niemców, niż u Polaków, którzy zarzuciwszy broń białą, chwytają za pistolet i życie narażają za lada błahą obrazę. Co do mego pojedynku rozsądny Daniels, wiedząc, żem niedoświadczony jeszcze w robieniu bronią jako „Fuchs", to jest akademik w pierwszym semestrze dopiero będący, tę był zawarował ugodę, że tylko tak długo bić się będziemy, aż u którego z nas krew popłynie. Szczęście mi posłużyło, bo za kilka ledwie minut pana Wendta ugodziłem w twarz, w lewy policzek na dwa cale poniżej oka. Rana była z cal długa, krew trysła, więc pojedynek skończony; ja wyszedłem cały z tej walki, choć przeciwnika miałem zażartego na mnie. Trzema igłami zaszyto czy spięto mu krawędzie rozciętej skóry i już wieczorem tego samego dnia widziałem go w owej restauracji pijącego piwo, choć doktor mu zabronił tego nektaru, z obawy, aby się rana nie zaogniła. Dla uniknienia jakiegokolwiek prześla-

dowania ze strony policji zakładu politechnicznego zaraz następnego dnia raniuteńko opuściłem pamiętne mi miasto i siadłszy w Knilingu, tam gdzie się odbył pojedynek na statek parowy, puściłem się już w drogę ku domowi. Po drodze jeszcze do Moguncji wstąpiłem, dla poznania miasta i ponieważ miałem rekomendacje i listy prywatne do kilku akademików z Giessen i Marburga, którzy będąc z Moguncji rodem, tu ferje spędzili, tylko od czasu do czasu małe wycieczki wspólne w bliskie okolice przedsiębiorąc. Taki jest duch korporacyjny między akademikami niemieckimi, że tutejsi za obowiązek sobie uważają, przejezdnych akademików przyjmować jakby gospodarzami miasta byli. Wyznaczają im darmo kwatery, w pewnej oberży ich obiadami i piwem częstują wręczywszy każdemu pewną ilość marek czyli biletów obiadowych i piwnych. Gościnność ta dużo kosztuje moguckich akademików, bo niejeden, choćby o własnym koszcie żyć mógł, bezwstydnie korzysta z ich dobrego serca i dłużej niż powinien, nadużywa obcego woreczka. Ja tylko kwaterę przyjąłem, zresztą własnym kosztem się żywiłem. W mieście wszelkie widzenia, godne domy, zakłady, kościoły i posągi zwiedziłem i widziałem między innemi posąg Gutenberga, wynalazcy sztuki drukarskiej. Cudowny jest widok z promenady nad Renem, z widokiem ujścia Menu do Renu na most łyżwowy, łączący miasto Moguncję z miasteczkiem Kassel na prawym brzegu Renu leżącem i na oddalone o milę drogi stołeczne jeszcze wówczas miasto księstwa Nassawskiego, Bieberich. W późniejszem życiu miałem jeszcze kilka razy sposobność zwiedzenia tutejszej okolicy i za każdym razem siadając na tem samem miejscu na promenadzie, cieszyłem się nieustannemu ruchowi na rzece. Klonowicz we Flisie wspomina o młynach na Wiśle pływających, nazywa je dubielami, otóż takich dubieli r. 1841 było na Renie kilkadziesiąt jeszcze, później — coraz mniej ich by-

wało, bo parowe młyny zaczęły je zastępować, a czy dziś jeszcze jaki pozostał, nie wiem. Kto zna brzegi Renu między Moguncją i Kolonją nie będzie odemnie wymagał bliższego opisu tych brzegów; dosyć, że pierwszy raz tam przejeżdżając oczarowany byłem tylu pięknościami. Bez grosza wróciłem wreszcie po sześciotygodniowem oddaleniu do Bonn, ale to mi żadnej nie sprawiało przykrości, bo miałem kredyt u gospodarza i w oberży, gdziem jadał obiady, a osobliwie u kupca Józewicza, który pieniędzy dostarczał. Zanim o innych jeszcze przyjemnościach w Bonn doznanych wspomnę, wypada mi o studjach moich powiedzieć, co się należy, osobliwie jak się z niemi urządziłem. Wstawałem regularnie bardzo rychło, chociaż się czasem wieczorem spóźniłem z powrotem do domu. Do ósmej rano przepisywałem na czyste dnia poprzedniego prawie stenograficznie spisane kolegja. Za świeżej pamięci skrócenia użyte były mi jeszcze zupełnie zrozumiałe i czytelne; a przez to, że je sobie przepisywałem w osobne kajety każde kolegjum, utkwiły mi tak w pamięci, że za lat kilka do egzaminu nawet zajrzeć do nich nie potrzebowałem. O ósmej wychodziłem na kolegja do profesora sławnego Welckera, który czytał o starożytnościach i o sztuce starożytnych Greków; do profesora Ritschla, który prócz prelekcyj o Sofoklesie i tragedjach jego był przewodnikiem młodych filologów w seminarjum filologicznem. Trzeba się tam było do tych ćwiczeń przygotowywać i miewać dysputy, czasem w języku łacińskim; u profesora Schopena, który zarazem był dyrektorem tutejszego gimnazjum, słuchałem wykładu o Horacym; u profesora Dietza dwa razy w tygodniu języka włoskiego a u Roppa także dwa razy w tygodniu nabrałem trochę wiadomości o języku sanskryckim. Prócz tego słuchałem historji powszechnej u Loebella i dwa razy w tygodniu w lekcjach nadzwyczajnych czytałem u Sybela, wtedy je-

szcze docenta, dziś państwowego historyka pruskiego, kronikę Grzegorza z Tours, a niemieckiego wykładu o Fauście Goethego w jednej godzinie co tydzień u Düntzera. Był to nieszczęśliwy profesor, bo na jego wykład w największej auli gromadzili się prawie wszyscy studenci i towarzyszyli mu śmiechem, pukaniem i gwizdaniem, tak iż nieborak po czwartej lekcji musiał zaprzestać swoich wykładów. U starego niemieckiego patrjoty Arndta, który był autorem szowinistycznej pieśni niemieckiej „Was ist des Deutschen Vaterland“, byłem kilka razy na prelekcji „porównawcza historja narodów“, ale przestałem wnet chodzić, gdy zaczął w niegodziwy i brzydki sposób wyrażać się o Słowianach. Zapomniałem jeszcze o tem, że obowiązkowej logiki i psychologji słuchałem u profesora von Calker'a. Wszystkie prawie lekcje odbywały się przed południem, dla tego też wróciwszy po obiedzie do domu mogłem zasiąść do czytania autorów greckich i łacińskich i studjować nauki pomocnicze np. metrykę, gramatykę itd. Do piątej tem byłem zajęty; poczem następowała rekreacja, na sali szermierki, poczem spacer na Hoher Zoll z widokiem na Ren i Siedmiowzgórze, do parku i promenadą aż do Popelwitz, gdzie się znajdowała szkoła agronomiczna i muzea fizjologiczne i historji naturalnej. Zaraz za Popelwitz wznosiła się śród lasku góra z kościołem i dawniejszemi klasztornemi zabudowaniami. W kościele tym były kamienne schody do kaplicy N. Panny Marji jak w Rzymie w kościele Laterańskim, po których tylko na kolanach klęcząc wchodzono i schodzono; pod kościołem pokazywano w grobie podziemnym ciała położonych tam na pryczy drewnianej bez trumny, tylko w habity ubranych mnichów, spoczywających tam już bardzo długie lata, ale nie nadgniłe, tylko wyschłe, podobne do mumij w muzeum Popelwitzkiem. Za kościołem trochę głębiej w lesie była polanka, na której się odby-

wały pojedynki. Na około stawiano czaty, aby pedel uniwersytecki pojedynkujących się niespodzianie nie naszedł; gdy go zdaleka spostrzeżono ze wszystkiem się prędko uprzątnięto, tak iż nie znalazłszy nic podejrzanego odchodził z kwitkiem. Usłyszawszy, że żona profesora Berndta jest Polką urodzoną w Warszawie, z domu Brodziszewska, że rada widzi, gdy ją akademicy Polacy odwiedzają, oddałem jej wizytę, czego nie żałuję. Byłem tam częstym gościem, zapraszanym na polskie obiady. Częstowała barszczem, zrazami i t. podobnemi przysmaczkami. Pani ta wysokiego wzrostu już w wieku starszym będąca, obdarzona była dość liczną rodziną. Córka najstarsza r. 1842 wyszła za mąż do Kolonji za lekarza. Syn najstarszy miał być nicponiem, nie komunikowałem się z nim. Zabawną figurą był sam profesor, który od czasu założenia uniwersytetu w Bonn tu powołany z Poznania pełnił obowiązki podbibljotekarza i co semestr ogłaszał na czarnej tablicy, że będzie miał prelekcje heraldyczne, o dyplomach i pieczęciach, tak zwane sfragistyczne, ale nigdy nikt się nie zgłaszał na te prelekcje. Później dopiero się dowiedziałem, że to ten sam Berndt, którego Wilkoński w swojej samotce i wspomnienie szkolne, tak dowcipnie scharakteryzował. Był szczupły, miernego wzrostu i bardzo potulny człeczek; jego pani zapewne bardzo się czuła nieszczęśliwą. Byłem też w Kolonji podczas karnawału w „ostatki", jak się odbywała sławna objażdżka po mieście tak zwanego po niemiecku „Narrenfest", (Zabawa błaznów). Zjechało się na ten dzień kilkaset akademików; już poprzednio była zamówiona jedna piwiarnia dla wyłącznego użytku studentów; aby nie przyszło do jakiegokolwiek nieprzyjemnego zajścia między nami i rozochoconymi obywatelami miasta. Piwiarnia ta była przy dużym placu, na którym się zgromadziły wszystkie powozy z maskami, chcącymi wziąć udział w pochodzie czyli raczej

przejażdżce po mieście. My tu w naszych stronach nie mamy wcale wyobrażenia o podobnej zabawie. Wszystko szaleje, ale w sposób dość przyzwoity. Piesi chodzą zamaskowani; kapeluszy nie cierpią, wtłaczając je przechodniom uderzeniem przez czoło, nos aż do brody. Sama przejażdżka trwała kilka godzin przez wszystkie główniejsze ulice miasta. Pamiętam dwa wozy tak ustrojone... Była na wozie urządzona góra czy skała, na niej chatka malusieńka a przedewszystkiem stała staruszka i młody chłopak, a u stóp góry napis: Auch in der kleinsten Hütte ist Raum für ein liebend Paar.

Na innym wozie na dość wysokim słupie — krzyżowały się dwie belki, które wbijając się jednym końcem raz w górę, drugi raz nachylając się znowu, cudaczny przedstawiały widok, ponieważ osoby siedzące na końcach belek udawały wesołych lub trwożących się. Zabawną i wielki śmiech między kolegami wzbudzającą była wycieczka moja w trójkę podjęta do Rolandseck bo spotkało nas kilka nieprzyjemnych wprawdzie, ale znów nie zbyt przykrych wypadków, które nas w lepszy humor tylko wprawiły. Wystawcie sobie sytuację taką a ręczę, że i was jeszcze teraz rozśmieszy. Jechaliśmy sobie jednokonną dryndą przez brukowaną ulicę wioski, a tu nagle pęka rzemień trzymający dyszle a koniowi na karku do tej chwili spokojnie leżący. Od razu dyszle upadają na ziemię, zatrzymują spokojnego aczkolwiek przestraszonego konia, a my nosami naszemi o mało co na zadzie końskim się nie oparli. Ponieważ w tejże wsi nie było siodlarza, więc dyszle powrozem zawieszono na koniu i mieliśmy aż do następnej wioski udać się, gdzie mieszkał rzemieślnik ten kunszt traktujący; ale ledwieśmy znów miejsca nasze zabrali i ruszyli, powróz tak zaczął trzeć kark koniowi, iż z bólu wierzgać i rwać się począł. Cóż nam pozostało? oto dwóch nas dyszle wzięło pod pachę odwiązawszy powróz, a trze-

ci prowadził konia, ująwszy go za cugle, a taką procesją wzbudzaliśmy śmiech wszystkich napotykanych osób. Dobiwszy się wreszcie do owej wsi, trzy godziny czekać musieliśmy na zeszycie rzemienia, a wyjeżdżając na dobitkę zawadziliśmy w bramie o słup żelazny i złamało nam się koło. To było przyczyną, żeśmy tam nocować byli znagleni; dopiero nazajutrz po wesołem śniadaniu winem miejscowem pokropionem o pożyczonem kole wracaliśmy do Bonn. Wycieczka zabawna, ale kosztów dużo narobiła. Byłem też dwa razy na komersie akademickim. Pierwszy odbył się w miasteczku Koenigswinter u stóp Siedmiowzgórza leżącego i w Rolandseck na lewym brzegu Renu naprzeciwko położonym. Podróż odbyła się statkiem parowym. Członkowie tego towarzystwa, do którego jako gość się przyłączyłem, nosili czerwone czapki; ich starsi w ubiorach paradnych, spodniach białych skórzanych, z butami długiemi aż do bioder prawie sięgającemi, a zwano je kanonami, z rapierami przy boku i wstęgami szerokiemi czerwono-białemi przez ramię i piersi zawieszonemi ładnie wyglądali. Muzyka grała a chorgwią towarzystwa wiatr poruszał. Podróżni, osobliwie Anglicy, z ciekawością nam się przyglądali, wtedy i mnie to bawiło, ale dziś szczerze wyznaję, że cała zabawa zasadzała się na piciu bez miary, iż ledwie dwóch czy trzech nazajutrz było trzeźwych. Drugi komers na końcu semestru zimowego odbył się tuż pod Bonn w parku, gdzie wielka sala w restauracji zwanej Baumschule wszystkich akademików, kilkuset ludzi młodych, pomieścić mogła. Był to komers ogólny; do dwunastej godziny panowała zgoda i harmonja, tak zwany m o m e n t suspendu, ale ledwie ta godzina wybiła, rozpoczęły się komersaże, jeden o drugiego zawadzał, zaczepiano się i szukano przyczyn najbłahszych do wyzywania się na pojedynek. I mnie nie minęło wyzwanie. Wspomniałem już raz o Plehnie, z któ-

rym jakoś cierpieć się nawzajem nie mogliśmy. Otóż ten przystąpił po dwunastej do mnie z próżnym kuflem i tym chciał się napić do mnie. Obraza ta z mojej strony wywołała ten protest, iż go głupim nazwałem. Tego tylko Plehn pragnął, bo mnie chciał rapierem naznaczyć, a uchodził za rębacza dość biegłego. Na trzeci dzień po komersie wszyscy ci, co wtedy się wyzwali, mieli stanąć do walki, ale że ich zbyt wielu było dopiero po kilku dniach przyszła na mnie kolej. Pojedynek odbył się w ten sposób, co w Carlsruhe wyżej opisany, z tą tylko różnicą, żeśmy obydwaj obronną wyszli ręką z tej potrzeby. Z Plehnem już się później nie spotkałem, ale córkę jego poznałem, która była żoną osławionego polakożercy dra Wehra w Prusach Zachodnich. Na Wielkanoc r. 1842 opuściłem Bonn i przeszedłem na uniwersytet do Berlina, aby tam ukończyć studja, ale inaczej się stało, bo dopiero w marcu 1844 r. złożyłem egzamin pro facultate docendi, a to w Wrocławiu. Przyczyny tej zwłoki i mitręgi po części samemu sobie, po części ówczesnym stosunkom politycznym przypisać mi należy. Gdybym był w Berlinie tak umiał połączyć utile cum dulci, to jest, gdybym tyle był pracował co w Bonn, niezawodnie byłbym się czuł już na początku r. 1843 dość przysposobionym do złożenia popisu, ale towarzystwo mnie za nadto rozrywało. Mieszkałem z początku przez rok cały razem z Janem Stefańskim [4], także filologiem. Nie bardzo korzystną okazała się ta przyjaźń. Kolega mój znacznie starszy odemnie właściwie już był zdecydowany porzucić filologję, alem ja tego wtedy nie wiedział jeszcze. Siedział w Berlinie mając dostateczne utrzymania od państwa, z której córką był zaręczony i pewnie bał się tego ożenku, który go jednak później nie minął. Stefański był

---

[4]) Zapewnie z Nakła, abiturjent chełmiński z r. 1840. (Dop. X. M.)

przystojnym mężczyzną, wąs miał siarczysty i dużo talentów towarzyskich posiadał przy wesołem zawsze usposobieniu. Umiał grać na kilku instrumentach, osobliwie na gitarze, przyczem śpiewał; był jednem słowem powiedziawszy facecjonistą, bawić umiał wszystkich, rozśmieszał, dobrym był kompanem przedewszystkiem do kart; znał każdą grę, ale w używaniu napojów był skromny. Lubiono go powszechnie a w Księstwie miał dużo przyjaciół i dobrodziejów, bo jak narzeczona długim jego pobytem w Berlinie zniechęcona już o jego karjerze filologicznej powątpiewać zaczęła i coraz mniej pieniędzy przysyłała, on z domu nic nie mając, zaczął odzywać się do owych przyjaciół, a nie było dnia, żeby w rozmaite strony nie był wysłał listu. Nie były listy jego bezskuteczne, bo bardzo często odbierał listy zawierające rozmaite sumy, od pięciu aż do kilkudziesięciu talarów. Szło to dosyć długo i dobrze mu z tem było, ale wreszcie się sprzykrzyła dobrodziejom ta wieczna jego żebranina, aż się już po moim wyjeździe z Berlina zawinął, do narzeczonej powrócił, która nie widząc przed sobą innego losu, bo młodość jej dawno była minęła, za niego wyszła. Zrazu chodził dzierżawkami, a w końcu przyjął u żydów miejsce dozórcy lasów. Czy jeszcze żyje, nie wiem. Polonji było wówczas przeszło stu w Berlinie, ale nie wszyscy z sobą żyli, ani też dla wielkiej liczby — dla stosunków majątkowych i dla innych przyczyn żyć z sobą nie mogli. Było wprawdzie jedno miejsce, gdzie się z większą częścią było można spotkać, to jest na wieczorkach literackich, ale że kilku zapalonych heglistów potrafiło rej na nich wodzić, swemi niezrozumiałemi dla wielu rozprawami, odstraszyli od częstego bywania na wieczorkach. Wogóle na dwa obozy akademicy Polacy podzieleni byli, bogatsi i ubożsi, ale nigdy do zwady jakiej nie przyszło; cała różnica na tem polegała, że pierwsi więcej sobie mogli pozwalać i że się z

nimi chętnie łączyli herbowni panicze. Złych nałogów w żadnym obozie nie spostrzegłem. Grywano wprawdzie od czasu do czasu w karty, ale nie było tak zwanych karciarzy; lubiono bawić się wieczorami, pić piwo i grać w bilard, ale nie było pijaków. I prawdziwych nygusów też właściwie nie było, boć o ile pamiętam, cała ówczesna młodzież berlińska wyszła na ludzi porządnych. Że drobny procent się gdzieś zawieruszył, temu się dziwić nie trzeba; gdzie drwa rąbią i wiory padają. Znać się nawzajem wszyscy znali i koleżeństwa się ani wypierano ani wstydzono. Gdy powstała myśl wyprawienia sobie wspólnej wilji w r. 1843, nikt się nie wyłączył. Zamówiono w odeum na Thiergartenstrasse wieczerzę w polski sposób urządzoną. Nie brakło siana na rogach stołów, ani zupy czyli polewki migdałowej i reszty rytuałem zwyczajowym przepisanych potraw. Przy końcu wieczerzy dwóch ukazało się przybranych w kontusze, co tak zelektryzowało towarzystwo całe, że się puszczono w tany dość długo trwające, naturalnie bez kobiet. Łączyli się z prawdziwymi akademikami i inni młodzi Polacy, którzy z rozmaitych innych przyczyn w Berlinie bawili. Pamiętam był pewien Pozorski, ale wątpię, czy to prawdziwe było jego nazwisko. Pracował u garbarza na Koelnstr. Człowiek to był wykształcony, dość wysoki, brunet i silnej budowy ciała. Powiadano sobie, że to Litwin, który jako czeladnik garbarski, zaopatrzony w świadectwa pruskie zamierzał przewędrować całą Rosję i umysły tych, z którymi się zetknął, przysposobiał do wielkiej idei wolności. Co się z nim stało, na pewno powiedzieć nie mogę, ale rozniosła się wiadomość, że schwytany w Rosji jako agitator i konspirator życia przez powieszenie pozbawiony został. Byli jeszcze z Ukrainy Wydżga, miły towarzysz, który na zgromadzeniach wspólnych śpiewanemi dumkami elektryzował wszystkich, a śpiewał ślicznie; i

dwóch braci Rulikowskich. Z Księstwa przedmiotem powszechnej zabawy był niedowarzony exgimnazjasta Cezary Bojanowski, który udając uczonego ciągle potrącał o francuszczyznę, wyniesioną z domu od guwernantki; przezwano go: qu 'est que ca, bo ciągle ten frazes miał na języku. Ja przedewszystkiem prócz powyżej wymienionego Stefańskiego przyjaźniłem się z braćmi Żychlińskimi, Ludwikiem i Józefem, a znałem się bliżej z Rybińskim z Prus Zachodnich[5]) i Jaroczyńskim malarzem[6]). Na uniwersytecie dosyć pilnie, chociaż nie tak regularnie jak w Bonn odwiedzałem kolegja; słuchałem metryki i starożytności greckich u sławnego Boeckha, gramatyki łacińskiej i starożytności rzymskich u niemniej znakomitego filologa Zumpta, Persjusza u Lachmana, literatury i gramatyki niemieckiej u Jakóba Grimma; porównawczej gramatyki u Benarego, psychologji u Mitscherlicha. Pewnego dnia u tego ostatniego przeszło stu akademików pilnie słuchało jego wykładu, gdy nagle, a już było po wpół, otworzyły się drzwi i wszedł człowieczek niskiego wzrostu z czarnym zarostem a brzydki bardzo. Stanął przy drzwiach, Mitscherlich przestał na chwilę mówić i skinieniem ręki zapraszał go, by bliżej przystąpił i usiadł, ale ów nieznajomy skinieniem głowy podziękował i został do końca godziny przy drzwiach. Dopiero po skończonej lekcji dowiedziałem się, że to był nasz sławny filozof August Cieszkowski, bo go znał kolega Słomczewski, zapalony heglista. Z bibljoteki królewskiej przy placu opery i z bibljoteki uniwersyteckiej, która wtedy mieściła się nad bramą prowadzącą z Lip na Neue Wilhelmstrasse, korzystałem dużo.

---

5) Leon Rybiński, syn Wawrzyńca i Anny z Lniskich, dziedzic Dembińca pod Radzynem, zasłużony obywatel i poseł, um. 1904. 6) Marjan J., rodem z Torunia, długoletni nauczyciel rysunków w Pozn., umarł około 1900. (Dop. X. M.)

Tak mi zeszły dwa lata w Berlinie, przerywane odwiedzinami dwa razy do roku rodziców w Poznaniu. Ostatniego roku 1843 po wielkich ferjach poznałem się na poczcie w Poznaniu z jakąś panną Lehmann z Berlina, która wracając z Królestwa, gdzie była w obowiązkach guwernantki, dwanaście godzin zmuszona była czekać na dalszą jazdę. Ofiarowałem się na przewodnika po mieście i zaciekawiłem wszystkich znajomych, widzących mnie z nieznaną osobą to po ulicach, to w kościołach itd. Matka aż struchlała, gdy jej doniesiono o tem i ledwie potrafiłem ją przekonać, w jak niewinny sposób do tej znajomości przyszedłem. Wróciwszy do Berlina oddałem jej rodzicom wizytę, bo mię o to prosiła; ojciec był radcą rejencyjnym. Nie zastawszy nikogo w domu zostawiłem mój bilet i wróciłem do stancji; notabene, oni mieszkali na ulicy Jacobstr. blisko Halskiej Bramy a ja na Charitestr. prawie trzy ćwierci mili daleko. Po obiedzie o trzeciej godzinie zapukano do drzwi moich i wszedł brat jej, chłopak dwunastoletni z listem od radcy, w którym wyrażał żal swój, iż go nie zastałem w domu, bo był w kościele z całą rodziną, (była to niedziela) i prosił, bym na wieczór przybył do nich, że zastanę tam też małe kółko ich przyjaciół i znajomych. Byłem tedy u Lehmanów. Prócz znajomej mi panny, były jeszcze dwie siostry młodsze, ale też już dorosłe i dwie rodziny: radca Müller z dwiema córkami i emeryt jakiś Bodin z żoną, córką i synem. Za grzeczność wyświadczoną córce w Poznaniu Lehmanowie z wielką mię przyjęli przyjaźnią i odtąd przez całą zimę aż do opuszczenia Berlina, bardzo częstym byłem gościem w tym domu i u Müllerów i Bodinów i u ciotki Müllerów, starej panny Biermann, siostry sławnego malarza pejsażysty, która osobno mieszkała i całe to grono wymienione często podejmowała. Wprowadziłem tam też Stefańskiego, który swym humorem, śpiewem, dowcipami bardzo im się podobał.

W piękny dzień wiosenny zabrały nas te rodziny na wieś. Jak skromne wówczas były wymagania Berlińczyków pod tym względem, Stefańskiego i mnie bawiło. Zajechaliśmy bowiem do wsi oddalonej od Berlina o milę drogi. Szczery piasek, kilka chojarów i prymitywna oberża. W tej prócz piwa prawie kwaśnego, jaj, chleba i masła nic innego nie można było dostać; ale wolno było ugotować sobie kawę przywiezioną i spożywać furaże, również zabrane, przed domem na stołach i ławkach zbitych z desek nieheblowanych. Było nas osób razem z dziećmi około dwadzieścia, a kawy, prócz mnie i kolegi mego przeciętnie po dziesięć filiżanek, tak zwanego Blümchenkaffee każda z innych osób wypiła. Wzmiankowana kawa Blümchen (kwiatek) stąd ma nazwę, że kawa tak jasna, że we filiżance pełnej widać na spodzie wymalowany kwiat. Naturalnie, że podobną kawą nikt nerwów swoich nie nadwyręży.

Gry kończyły się składaniem fantów, które wykupywano po większej części buziakami, co nam bardzo wielką przyjemność sprawiało, bo buzie były ładne. Jeździłem do Poznania na Wielkanoc i na wielkie ferje; a że kredyt miałem u krawca, zaopatrywałem się zawsze w piękną garderobę, którą w kilka lat później dopiero, będąc już na etacie, spłacałem zwolna. Podczas wakacyj o dwóch przygodach mię szczególnie zajmujących i pamiętnych warto wspomnieć. Szwagier mój, nauczyciel gimnazjalny Figurski dawał lekcje rachunków na pensji żeńskiej. Czując się pewnego razu chorym, czy że mu się nie chciało samemu pójść na lekcje, poprosił przełożoną pensji, aby mnie pozwoliła przez tydzień jeden go zastępować. Przystała pani na propozycję jego, a mnie bawiło, że w trzech klasach po dwie godziny na tydzień mam odgrywać rolę poważnego pedagoga. W pierwszej i drugiej klasie, w których znajdowały się dziewczęta młode od ośmiu do trzynastu lat z

całą energją zająłem się narzuconem mi zadaniem i przełożona nadzwyczaj była zadowoloną, — bo na każdą lekcję przychodziła i przysłuchiwała się wykładowi memu. Gdy i w najwyższej trzeciej klasie, gdzie się znajdowały już dorastające panienki, a między niemi kilka mi znajomych, również odpowiedziałem jej oczekiwaniu, zapomniała przyjść na następną lekcję, a miała to być ostatnia mego improwizowanego nauczycielstwa. Panny bowiem znużone rachunkami przy wyjściu z lekcji pierwszej szepnęły mi, abym na przyszłą przyniósł z sobą jaką książkę i przeczytał im coś zabawnego. Stało się jak sobie życzyły. Gdy przełożona nie przyszła, zaniechawszy rachunków zacząłem czytać. Nastąpiła wielka cisza, niekiedy tylko pustym śmiechem panienek przerywana. Ta cisza i ten śmiech zdradziły moje podstępne postępowanie, bo pani przełożona przechodząc przypadkiem przez kurytarz, uderzona wesołością panującą w klasię nagle weszła, ale zdumiona stanęła przy drzwiach, gdy ja niestraciwszy wcale przytomności jakby rachunkiem jakim pamięciowym zajęty wyrywam najlepiej mi znaną panienkę i pytam o rezultat, jaki wypadł przez pomnożenie liczby danej. Panienka nie w ciemię bita, śmiało odpowiada zmyśloną liczbę, a wtedy już dalej szła rachuba jak z płatka. Wyszła pani, ale czy się domyślała fortelu, czy która uczennica zdradziła, dosyć, że to była ostatnia moja lekcja na tej pensji. Panienki długi czas pamiętały o niej, bo skoro która mię na ulicy lub w towarzystwie jakiem spotkała, śmiały się do rozpuku. Drugiem pamiętnem mi zdarzeniem była podróż po Księstwie. Ów znajomy mi malarz Sukkert, o którym mówiąc o pierwszym pobycie moim w Berlinie wspomniałem, przyjechał właśnie wtedy do Poznania do opiekuna swego. Ten, gdy powziął myśl pieszo niektóre okolice Księstwa zwiedzić i do teki swojej zbierać motywy do przyszłych obrazów, namówił mię, bym mu w tej wyciecz-

ce towarzyszył, na co się chętnie zgodziłem. Przez Kórnik szliśmy do Rogalina, siedziby Raczyńskich. Podziwialiśmy tam prócz pałacu dwoma skrzydłami w półkole otoczonego, w którym bogata znajdowała się zbrojownia, pełna najrozmaitszej broni starożytnej i sal wielkich w liczne obrazy udekorowanych, osobliwie park i mauzoleum. W parku były dęby kilkaset lat stare, tej grubości, że pięciu mężczyzn wyciągniętemi ramionami objąć ich nie mogło i labirynt to jest ogród szpalerem gęstym otoczony i tylu drogami i gankami urozmaicony, iż trudno było wynaleźć miejsce, którędy weszliśmy doń. Mauzoleum we wsi na górze wystawione na kształt starożytnych greckich świątyń ma u góry kaplicę z kilku ołtarzami, a w suterenach kryptę z grobami Raczyńskich, z marmurowemi pomnikami i posągami. Znaleźliśmy w Rogalinie znajomego nam urzędnika gospodarczego, który gościnnie nas przyjął i na noc zatrzymał. Nazajutrz puściliśmy się w dalszą drogę przez Dakowy do Grodziska, rodzinnego miasta towarzysza mego, gdzie przez kilkanaście lat ojciec jego był pastorem gminy ewangelickiej. Znalazłszy tam dużo znajomych i uproszony przez nich pozostał w Grodzisku, a ja sam na prędce ułożywszy sobie plan dalszej wędrówki, po rozstaniu się z nim puściłem się nasamprzód do Chobienic, własności Mielżyńskiego Macieja. Nie do Mielżyńskiego zdążałem, bo go nie znałem, ale do rządcy jego Gładysza. Był to syn najstarszy owego właściciela Borowego Młyna pod Międzyrzeczem, gdzie jako malec tak często z rodzicami bywałem. Gościnnie przyjęty kilka dni tam bawiłem. W niedzielę zabrał mię z sobą na konferencję, jaką wszyscy urzędnicy chobieniccy pod przewodnictwem samego hrabiego po nabożeństwie odbywali. Zbudowało mię postępowanie Mielżyńskiego z urzędnikami, których traktował jakby równych sobie i przyjaciół, zachowując jednak przytem swoją godność pana i dziedzica. Przed-

stawiony mu opowiadałem cel podróży mojej, przyczem się zgadało, że ze śp. zięciem jego, hrabią Bnińskim Janem ze Samostrzela na jednej ławce szkolnej w Poznaniu siedziałem. Przykrem mu było to wspomnienie, bo rok poprzednio zięć ten wraz z żoną spożywszy trujące grzyby był umarł. Z Chobienic udałem się do Zbąszynia, gdzie proboszczem był ksiądz Pietraszewski, brat wuja z Draska. Ksiądz trapiony reumatyzmem dokuczliwym, chodzi wprawdzie postękując, ale wesołego był usposobienia. Ucieszył się poznawszy mnie i nastawał, bym jak najdłużej u niego bawił, przynajmniej aż do odpustu, który za kilka dni w parafji zbąszyńskiej przypadał. Nie żałowałem wcale, iż tam kilka dni pozostałem, bo na odpuście doskonale się zabawiłem, poznawszy kapłanów okolicznych; zwiedziłem też ruiny zamku starożytnego, rezydencji Garczyńskich, których ostatni potomek znany poeta, tak wcześnie po napisaniu „Wacława“ umarł na tułactwie. Folwark księży dzierżawił Grodzki, krewny Pietraszewskich; tam też byłem i zastałem tam Julkę Pietraszewską z Draska. Tu mnie namówiono, bym też i do Draska zawitał; więc nie namyśliwszy się długo, osobliwie, iż mię kilka mil odwieść chcieli a chcąc korzystać przy tej sposobności, by się bliżej rozmaitym okolicom Księstwa przypatrzeć, ochotnie puściłem się samopas na wędrówkę dalszą. Zwiedziwszy Pszczew, Międzychód, Sieraków, gdzie ongi rezydował wojewoda Opaliński, ów w pismach swoich nieubłagany obyczajów polskich gromiciel, a w czynie zdrajca Rzeczypospolitej Polskiej wskutek obrażonej dumy, iż go kanclerstwo nie doszło, wstąpiłem jeszcze do Draska i do Obornik.

Nic w Sierakowie już nie świadczy o rezydencji jego; czas wszystkie budowle zniszczył; dziś jest to miasteczko małe i tylko tem znane, że znajduje się w niem stacja ogierów państwowych. W Drasku zastałem przykre zmiany. Wuj

umarł, a ciotka, choć już nie młoda, niepomna tego, jaki los zgotuje dzieciom swoim, uległa namowom księdza Jeskiego, Niemca, który raił jej brata swego, wkrótce miała wyjść za niego. Niebaczna kobieta! mąż jej nowy, młodszy daleko od niej, źle się z nią obszedł, wymógłszy na niej zapis całego gospodarstwa. Zapewne wskutek żalu i zmartwienia wkrótce potem zmarła.

Dziś Drasko jest wsią całkiem zgermanizowaną, również jak wieś sąsiednia Pęckowo, gdzie się nieco dłużej utrzymali krewni Pietraszewskiego. Ale wychowane na pensjach niemieckich córki powychodziły za Niemców a dziś tam śladów polskości daremnie szukać. Przyczynił się do tego też ksiądz Prokop, Niemiec, który całkiem schłopiał i z gospodarzami polskimi, którzy to sobie za zaszczyt mieli, w karty grywał i ich upajał. Wracając do Poznania wstąpiłem do Obornik, by odwiedzić księdza Kawickiego, krewnego ojca mego, ale zastałem go schorowanego i o nic się nie troszczącego już, więc popasawszy tam tylko jedną dobę ukończyłem moją trzytygodniową wędrówkę, zdrów stanąwszy w domu.

Ostatni semestr zimowy z roku 1843 na rok 1844 dość intensywnie pracowałem, ale że stypendjum się wyczerpało, a nie czułem się jeszcze dosyć przygotowanym do egzaminu na nauczyciela wyższego, wróciwszy do Poznania czyniłem starania, by uzyskać jakie miejsce guwernera, by jeszcze zwolna przysposabiać się a nie być ciężarem rodzicom w domu, którzy i tak już dosyć kosztów na mnie łożyli. W tym celu wyjechałem do Wrocławia, gdzie już trzeciego dnia przyjąłem miejsce u pani Kossowskiej pod bardzo korzystnemi warunkami, bo oprócz stołu i stancji miałem jeszcze pobierać na rok dwieście talarów. Obowiązki, jakie przejąłem, były te, że trzem panienkom, Stefanji czternastoletniej, Kazimierze dwunastoletniej, Ludwice dziesięcioletniej i Bolesławowi dziewięcioletniemu

miałem udzielać wszelkich nauk szkolnych, prócz języka francuskiego, bo była na to guwernantka Polka z Warszawy, Klementyna, nazwiska już nie pomnę, osoba z natury upośledzona, bo garbata, ale dziwnie łagodnego i słodkiego usposobienia. Miejsca tego wielu mi zazdrościło, bo prócz korzyści materjalnych jeszcze miałem tę dogodność, iż mieszkając w Wrocławiu mogłem uczęszczać jako extraneus na niektóre prelekcje w uniwersytecie n. p. u Czelakowskiego na wykład gramatyki i literatury słowiańskiej i należeć do seminarjum historycznego pod kierunkiem profesora Kutzen.

(Co następuje, piszę, bawiąc u wód morskich w Nowymporcie p. Gdańskiem w lipcu 1891 r., ukończywszy część poprzednią w Wrocławiu tegoż roku wiosną).

Spokojnie przepędziłem koniec roku 1844 i pierwszą połowę 1845 w Wrocławiu oddany szczerze pełnieniu przyjętego na siebie obowiązku, ciesząc się postępami panien, ale mniej zadowolony z Bolesia, chłopca ani pilnego ani do nauki chęci mającego. Z młodzieżą akademicką w przyjaznych żyłem stosunkach; poznałem wtedy Romana Zmorskiego, poetę, tłumacza pieśni serbskich i Ewarysta Estkowskiego, który bywszy poprzednio nauczycielem wiejskim li tylko z wykształceniem seminaryjnem, przybył do Wrocławia; by wyższego nabrać wykształcenia i osobliwie oddać się studjom pedagogicznym. Wyszedł później na wydawcę i redaktora pisma „Krzyż a Miecz“, które dla braku funduszów krótki tylko miało żywot. Potem wydawał w zeszytach miesięcznych pismo pedagogiczne. „Szkoła polska“ przydatne wszystkim wychowawcom dziatwy polskiej. Wpadłszy w suchoty w młodym jeszcze umarł wieku. Wdowa po nim utrzymuje do dziś dnia pensjonat żeński połączony ze szkołą kilkuklasową, licznie odwiedzaną i dobrej reputacji zażywającą. Do zabaw akademickich należały wieczorki herbaciane; co

tydzień kolejno wyprawiano je po stancjach prywatnych. Majętniejsi własnym kosztem opędzali wydatki a uboższi po kilku razem składali się na nie. Ci co mieli większą stancję pozwalali w niej odbywać te zebrania liczące do sześćdziesiąt i więcej członków. Gdy na mnie przyszła kolej, także w stancji innej wydałem herbatkę z dodatkiem bigosu, który mi kucharka pani Kossowskiej przyrządziła. Śpiewano na tych wieczorkach albo razem, albo kolejno, każdy z osobna nowemi i nieznanemi przez innych piosneczkami bawił towarzystwo. Wrzucano też kartki z zapytaniem jakiem lub tematem do kapelusza, poczem kolejno każdy jedną kartkę wyciągał i na temat, jaki mu losem się dostał, prawił mówkę. Uważam ten sposób zabawy jako bardzo kształcący i korzystny dla przyszłych obywateli, bo dodaje śmiałości i przyucza do nabierania wymowy i zaufania w siły swoje. Podczas pobytu mego w Wrocławiu należałem także do Towarzystwa Słowiańskiego. Czytałem tam rozprawę o prozodji polskiej.

Na święty Jan 1845 r. pani Kossowska miała opuścić Wrocław i wrócić na wieś do Rudnik, wsi leżącej w Kongresówce za Kaliszem pod miasteczkiem Wartą. Dałem się namówić, bym dzieci jeszcze nie opuszczał i towarzyszył im na wieś. Złote góry mi obiecywano i pensję znacznie polepszono. Zapomniałem o tem, że im później egzaminowi się poddam, tem trudniej zdać mi go przyjdzie i że łatwo wyjść mogę na wiecznego guwernera. Stało się! Opuściłem razem z familją tą Wrocław.

Nauka na wsi regularnie się odbywała; gości bywało mało, więc nic nie przerywało porządku i trybu przyjętego, ale mnie nie miało wyjść na dobre opuszczenie się w studjach. Korciła mnie ciągle myśl ta, że rodzice się na mnie gniewają. osobliwie Ojciec; więc już na Boże Narodzenie r. 1845 — po półrocznym pobycie na wsi wyjechałem z Rudnik. Opowiem tu też zajście, jakie

miałem z rodziną. Pani Kossowska ur. Żychlińska z Twardowa pod Pleszewem zaprosiła w jesieni szwagra swego pana Kossowskiego z całą rodziną do siebie na wieś. Był to szlachcic bankrut, którego, by miał jakiekolwiek utrzymanie, obrano radcą ziemstwa, czyli po wielkopolsku się wyrażając landszafty w gubernji kaliskiej. Pobierał znaczną pensję od obywateli, którym ułatwiał pożyczki z landszafty, pobierał kubany i prezenta do kuchni, tak iż ciągle jeszcze wielkim panem być się sądził. Był dumny i wybredny w jedzeniu i piciu. Otóż ten pan zjechał do Rudnik z żoną chorowitą i dwiema córkami; starszej było imię Marja, a wiekiem już się zbliżała do staropanieństwa, druga zaś Krysia, dziewczę siedemnastoletnie, w moich oczach piękność idealna. Ta czy wskutek zalotności i chęci bawienia się z młodym człowiekiem, rozgorzała miłością ku mnie i niedwuznacznie mi uczucia swoje okazywała, szukając ciągle sposobności być ze mną sam na sam: Ogród cienisty, pełen drzew i krzewów, oraz też gęsty chmielnik ułatwiały schadzki, a nie kontentując się niemi, nawet karteczkami i bilecikami przez pannę służącą mnie nasyłała. Ale póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie; wydała się tajemnica i byłem mimowolnym świadkiem brutalnej sceny, jaką własna matka pięknej Krysi wyprawiła. Krótko przed św. Marcinem, gdym bawił w pokoju do nauki szkolnej wyznaczonym, doleciał mię ze za sali ogrodowej, której drzwi uchylone dozwoliły wszystko słyszeć, płacz, łkania i groźne krzyki. Matce dostała się była zapewne przypadkiem lub przez niegodziwą pannę służącą podsunięta kartka Krysi do mnie pisana do ręki. Z furją wpadła na córkę, uderzyła ją kilka razy w twarz, krzycząc: wolałabym cię widzieć na marach, niż połączoną z tym golcem. Resztę dnia spędzono na pakowaniu się a nazajutrz cała rodzina wyruszyła do domu do Kalisza. Z Krysią pożegnać się nie mogłem, bo jej nie

wypuszczano z pokoju. W styczniu Krysia napiwszy się zimnej wody na wieczorku wyprawionym przez rodziców, po tańcu zaziębiła się, wpadła natychmiast w febrę i po sześciu tygodniach wyniesiono ją na cmentarz. Dowiedziałem się o tem od jej wuja Żychlińskiego z Twardowa u którego, nie mając tyle pieniędzy, bym mógł wrócić do Wrocławia, zostałem, ucząc jego dzieci. Do Twardowa wtedy bardzo wielu gości przybywało, był to bowiem czas ruchliwy, w którym się do powstania gotowano. Przywódcy konspiracji przyjeżdżali i odjeżdżali; widziałem Kurnatowskiego, który później w więzieniu nożem się przebił, Zawiszę, oficera belgijskiego, który po długiej tułaczce uzyskawszy amnestję osiadł w Prusach Zachodnich, Dąbrowskiego, który z Polski, gdzie miał objąć dowództwo powstańców około Dęblina za Warszawą, ledwie z życiem uszedł przed knutami i Syberją i wielu innych jeszcze. Emisarjusze ciągle do Twardowa wypadali czasem tylko jedną noc zatrzymując się. Uwaga rządu pruskiego już była się zwróciła ku tym ruchom i kilka razy odbyły się rewizje policyjne w Twardowie, ale były daremne, bo osoby udawało się albo ukryć albo potajemnie wysłać. Guwernantka, Niemka z Berlina, pewnego razu kompromitujące papiery ukryła na własnem ciele. Mnie w żadne plany nie wtajemniczano; wiedziano bowiem bardzo dobrze, że na każde zawołanie stanę pod bronią. Tak tedy kilka upłynęło tygodni, aż tu 8 lutego r. 1846 zajechał komisarz obwodowy przed dwór w Twardowie i mnie aresztował. Zawiózł mnie do Pleszewa na landraturę, gdzie landrat Raszkowicz mnie zaczął badać. Pytano mnie się, czy byłem w Polsce, czy miałem paszport i co z nim zrobiłem. Odpowiedziałem śmiało, że go mam w komodzie, gdzie moje rzeczy i papiery. Odwieziono mnie więc do Twardowa i w mojej obecności zrewidowano komodę, ale paszportu nie było; zwróciłem komisarzowi uwagę na

to, że komoda bez zamka i otworem stoi, że więc paszport mógł mi ktoś ukraść. Wzięto mnie napowrót do Pleszewa i osadzono w ratuszu na drugiem piętrze pod dachem do więzienia. Okno było zakratowane, ale mur dziurawy, tak iż byłbym mógł uciec, gdybym był chciał, ale tej przyjemności rządowi nie zrobiłem, boby byli mogli z ucieczki mojej Bóg wie jakie wnioski wyciągnąć, i byłbym rzucił podejrzenie na siebie i na cały dom Żychlińskiego. Kilka razy mię jeszcze w Pleszewie badano i wypytywano się także, kto w tym dworze bywał. Na wszystko odpowiadałem, że nie wiem kto, iż mnie nikogo nie prezentowano, że ucząc dzieci i z niemi chodząc na przechadzki, nie mogłem wiedzieć, co się we dworze dzieje, ponieważ mieszkałem w oficynie. Pomimo braku jakichkolwiek obciążających mię dowodów, iż sam, jak wnioskowano, dałem paszport emisarjuszowi Leopoldowi Dobrskiemu, którego z mym paszportem pochwycono na granicy w Pyzdrach, nie puszczono mię, lecz trzymano w kozie. Trzy miesiące siedziałem w Pleszewie. Codziennie wolno mi było w towarzystwie policjanta wychodzić na przechadzkę, które coraz dłużej i dalej się rozciągały. Byłem z nim nawet w knajpie, gdzie pełno było Niemców, urzędników i sędziów, z którymi jak wolny człowiek rozprawiałem. Stołowałem się z oberży, miałem gazety i abonowałem książki z księgarni Putjatyckiego. Pamiętam, żem w więzieniu czytał sławną powieść Monte-Christo. Ubawiło mnie pewnego dnia wykrzykiwanie dzieci które wskazując rękami do okna mego wołały: o złodziej, patrzcie złodziej tam siedzi. Szóstego maja t. r. kazano mi się wybrać w podróż. Żandarm siadł ze mną do poczty i jechaliśmy do Poznania. Z dziedzińca pocztowego na Fryderykowskiej ulicy szedłem wciąż eskortowany przez żandarma wprost aleją, przez Plac Działowy i przedmieście św. Wojciecha na Kernwerk. Przypadek zdarzył, że na św. Wojciechu

wprost cmentarza spotkałem się z bratem Kaźmierzem, który wtedy odsługiwał wojskowość swoją. Czułe było nasze przywitanie; uścisnęliśmy się po bratersku i nic go to nie obeszło, że z domku naprzeciwko stojącego, kilku oficerów go widziało. Przez Kaźmierza dowiedzieli się więc rodzice, żem zdrów i teraz w Poznaniu. Z tak zwanego Kernwerku poprowadzono mię do rawelinu nr. czwartego i osadzono w ciemnem więzieniu, bo tylko otworem na 20 cali długim i 25 cali szerokim światło dzienne wchodzić mogło. Rawelin jest to fortyfikacja mała, rowem szerokim z obydwóch stron podmurowanym otoczona, w ziemi osadzona i ziemią przykryta. Wewnątrz są dwie kondygnacje, dolna do ostrzeliwania rowu, gdyby już nieprzyjaciel do rowu wtargnął, a górna, zaopatrzona w szersze i większe otwory, któremi można wysuwać lufy armat, broniących wał na przeciw usypany i teren poza wałem leżący. Moja ciupa była z 8 kroków długa i 4 szeroka. Łóżko w jednym rogu żelazne z sieniakiem, krytym prześcieradłem z grubego szarego płótna z poduszką tak zwanym klinem i derą wełnianą. W drugim rogu stał mały stolik, na nim dzbanek do wody, pod nim nocnik i miska do umywania się, a przy łóżku jeszcze stołek. Porządek dzienny był ten, że rano musiałem sobie iść po wodę, wylać nocnik. W południe przynoszono miskę ze strawą, za którą płacono kucharzowi 30 fenigów (t. j. 3 trojaki). Dostarczono też chleba czarnego. Codziennie na pół godziny wypuszczano więźniów po dwóch, jeden na dole musiał spacerować, drugi u góry na wale, gdzie stosy kul leżały. Więźniów w jednym rawelinie (przynajmniej w 4-tym) było dwudziestu. Siedział tam też Palacz z Górczyna i akademik Słomczewski, o którym wspomniałem pisząc o Berlinie.

Humor mój nie zmienił się; — byłem zawsze wesoły i zdrów, chociaż wilgoć zaczęła dokuczać, a bezczynność nieprzyjemną się stawała.

Dobrze, żem w Pleszewie czytał Monte-Christo; fantazja ciągle mi przedstawiała obrazy dziwaczne i bujne, co to ja pocznę, jak będę wolny i do czego bym ja użył miljony niezliczone, gdybym je posiadał. Na wysłuchy pierwszy raz zaprowadzono mię do miasta do oberży obok bibljoteki Raczyńskich. Słuchał mię z umysłu z Berlina przysłany komisarz Dunkler, któremu pewnie wiele na tem zależało, by poszukiwania i proces Polakom wytoczony jak najdłużej trwał, bo dobre pobierał djety. To i mnie, chociaż już na wszystko, co mię pytano, po dwakroć w Pleszewie odpowiadałem, znów o to samo pytał i przez pięć godzin mię dręczył, ciągle wmawiając we mnie, że koniecznie znać musiałem osoby w Twardowie bywające, ażem się rozgniewał i jego się zapytałem, czy on mnie zna i czy sobie przypomina, że zemną już nawet kiedyś rozmawiał. Nie chciał teraz wierzyć, ażem mu się w oczy śmiejąc wspomniał, że w Berlinie, gdy mi z pokoju parę spodni skradziono, w jego biurze stawałem na termin wezwany. Dał mi natychmiast pokój. Drugi raz na Kernwerku do protokółu brał mię młody asesor Gerlach, który karjerę późniejszą zawdzięczał energicznemu występowaniu swemu przeciw więźniom polskim. Na drodze przez kurytarze Kernwerku prowadzony spotkałem po raz drugi Kaźmierza, który wiedząc o terminie, bo i ojca naszego nań wezwano, czatował na mnie i w kilku chwilach umówił się zemną co do korespondencji tajnej, dał mi stos gazet, trochę papieru i ołówek. Następnego dnia stał na posterunku przy rawelinie czwartym i pilnował, by brat lub inny jaki więzień nie uciekł. Rzeczywiście bowiem pomimo straży licznych i trudności wydobycia się z warowni, — kilka nocy później udało się Władysławowi Niegolewskiemu i ślusarzowi Lipińskiemu wykraść się ze sąsiedniego rawelina, ale po kilku dniach ucieszywszy się w Poznaniu w gronie przyjaciół, dobrowolnie wrócili do kozy.

Wracam do przerwanego wątku opowiadania mego. Wprowadzony do izby sklepionej, w której miał się odbyć termin, zastałem tam już śp. ojca. Przy powitaniu się zemną szepnął mi cichuteńko: szelmą będziesz, jeżeli jakie uczynisz wyznania. Szanowałem i kochałem ojca mego zawsze, ale te słowa wyniosły go w oczach i sercu mojem na bohatera, równając go, owej matce Spartance, co wolała widzieć syna na tarczy, to jest jako trupa wyniesionego z bitwy, niż żywym z bitwy ucieczką uratowanego. Tak i on choć syna kochał, wolał go widzieć w więzieniu niż na wolności, którą Gerlach przyobiecywał, gdybym żądane uczynił wyznania, i choć mu wystawiano, że i jemu jako urzędnikowi, grozi niebezpieczeństwo, gdybym dalej trwał przy uporze moim nie wyjawienia tego, co wiedzieć muszę. Odprowadzony znów pod eskortą do ciupy, przesiedziałem w niej do końca roku 1846 aż do pierwszych dni stycznia 1847 roku, gdy mnie nagle przeprowadzono do inkwizytorjatu w mieście. Gmach ten z niemieckiego zwany też Fronfestą, stał przy rogu placu Sapieżyńskiego i ulicy Fryderykowskiej naprzeciwko odwachu, przed którym na szubienicy wisiały blachy z wizerunkami malowanemi tych oficerów. którzy podczas powstania listopadowego 1830 r. z wojska pruskiego uciekli, by w szeregach polskich walczyć przeciw Moskalom. W tem nowem więzieniu miałem pokoik o jednem oknie z okienicą drewnianą, iż wszedłszy dopiero na mały stolik i krzesełko drewniane mogłem patrzeć na dziedziniec i na mur przeciwległy. Dawano mi tu lepsze jedzenie z oberży po 7½ trojaka; zaszkodziło mi to jadło, bom dostał febry gastrycznej. Żyd Cohn, radca medecynalny leczył mię. Tu też dano mi papieru, pióra i atramentu i książek kilka, przesyłanych mi z domu. Nadzieja moja, że nie długo już siedzieć będę, kiedy takie ulgi nastąpiły, ziściła się wreszcie 23 stycznia 1847 r. Dozorca tego dnia rano o godz. 9-tej wszedłszy

do mnie oznajmił mi, żem wolny i mogę iść do domu. Ucieszony popędziłem do mieszkania rodziców, na Starym Rynku pod nr. 77 na drugie piętro i Bogu dzięki zastałem wszystkich przy zdrowiu. Ojcu nalegającemu u władzy, by mi wystawiono świadectwo, iż podejrzenie należenia do konspiracji nie zostało udowodnionem, oświadczono, by milczał i był kontent, iż mu syna puszczono wolnego. Wrażenia z odebranej wolności po rocznej prawie kaźni, opisywać trudno; chodziłem jak po chorobie długiej prawie bez zmysłów i tak osłabiony, że ciągle drżałem; rzeczywiście byłem też chory, ale nie pokładałem się, choć byłem mocno wzruszony. Wkrótce po uzyskaniu wolności, daty nie pamiętam tracono w Poznaniu emisarjusza Babińskiego, którego sąd wojenny, bo w księstwie Poznańskiem panował stan oblężenia, ponieważ goniony przez żandarmów strzelił do nich, na śmierć był skazany przez rozstrzelanie. Na ten smutny akt poszedłem i ja, by przypatrzeć się, jak Polak za wolność ginie. Na Placu Działowym ustawione było wojsko z trzech stron. Artylerja po stronie kościoła garnizonowego, piechota od strony św. Wojciecha, konnica od strony promenady. Za wojskiem stały tłumy widzów. Na drabnym wozie pod eskortą przywieziono skazanego; towarzyszył mu ks. Grandke, późniejszy kanonik. Babiński był mężczyzną wysokiego wzrostu; postawiono go po czwartej wolnej stronie ku Jerzycom i na znak dany do klęczącego na jednem kolanie padły strzały. Pochylił się w znak i zdaje się, iż odrazu zabitym został, bo natychmiast w przywiezioną już trumnę z czterech desek zbitą trupa włożono i ku fortecy zawieziono. Gdzie go pochowano, niewiadomo. Po krwawej egzekucji po Placu Działowym przedefilowała artylerja, piechota i konnica, aby zatrzeć miejsce, na którem zginął. Kilka tygodni potem przesiedziałem w domu. Myślałem o powrocie do Wrocławia, ale żem był podupadł na zdrowiu, po-

wziąłem zamiar wyjechania na wiosnę i lato na wieś, aby odzyskać siły i rodzicom nie być ciężarem. Bawiłem przez niejaki czas u młodego Korytowskiego pod Strzałkowem, potem udałem się do Twardowa, gdzie mię pani Żychlińska bardzo niegrzecznie przyjęła, mówiąc, że niebezpieczną jest teraz rzeczą dla młodych ludzi jeździć po świecie. Natychmiast tę niegościnną panią opuściłem, chociaż memu milczeniu zawdzięczała kilka miesięcy później wolność męża swego i udałem się do Cezarego Budziszewskiego. Tymczasem niepokoiła mię myśl, że jeszcze wojskowość mię czeka. Do 26 roku życia wyjednałem sobie był uwolnienie od służby jednorocznej, ale termin ten minął, gdym siedział w kozie. Wróciwszy do Poznania poszedłem do prezesa policji pana v. Minutoli prosząc go o radę, co mam czynić. Wysłuchawszy mię, mąż ten natychmiast ofiarował mi swą pomoc i sam wystosował podanie do władzy wojskowej tłumacząc, dla czego w terminie oznaczonym sam zgłosić się nie mogłem do pułku. Wstawienie się Minutolego było skuteczne, bo już we dwa tygodnie odebrałem rezolucję, że wolno mi 1-go października 1847 r. wstąpić do wojska jako jednoroczny, w któremkolwiek mieście bym chciał. Ponieważ zamierzałem studja na nowo rozpocząć i równocześnie do egzaminu się przysposobić, obrałem sobie Wrocław jako miejsce zamieszkania. Wstąpiłem do 11 pułku piechoty i przyjąłem prelekcje historji i geografji u profesora Kutzen, wstępując zarazem na nowo do seminarjum historycznego, któremu on przewodniczył. Służby wojskowej nie było wiele, więc dosyć mi czasu pozostawało do pracy naukowej. Kończył wtedy studja brat mój młodszy ś. p. Zygmunt, i chętnie się uciekałem do jego pomocy. W styczniu 1848 r. uwolniono mnie ze służby wojskowej, bo się lekarzowi zdawało, że mam płuca za słabe, bo przy każdem prędszem poruszaniu się tchu mi zabrakło; a że mi uwolnienie

się było rzeczą pożądaną, więc też udawałem jeszcze słabość mniemaną. Natychmiast zgłosiłem się do egzaminu i odebrałem wkrótce temata do dwóch wypracowań, ale nie przyszło do spokojnego wykończenia ich, a to dla ruchów politycznych, które rozpocząwszy się w Paryżu wnet po całej prawie Europie się rozpostarły. Rewolucja berlińska naraz zelektryzowała Księstwo; zaczęły się formować hufce polskie i miano nadzieję, że razem z Niemcami uderzymy na Moskwę. Komitet polski w Poznaniu utworzony wezwał młodzież, by się stawiła w obozach i ćwiczyła się w obrotach wojskowych. Wielu akademików opuściło Wrocław, a ja znów niebaczny na własną przyszłość, tylko idąc za popędem niejasnego i nierozważnego patrjotyzmu przerwałem studja i wyruszyłem do obozu tworzącego się w Pleszewie. Zastałem tam jako komisarza cywilnego Franciszka Żychlińskiego, a jako dowodzącego oddziałem p. Białoskórskiego, dawniejszego oficera pruskiego, który w r. 1831 brał też udział w powstaniu. Już kilka set ochotników było zgromadzonych; formowano konnicę, strzelców i kosynjerów. Komitet zbierał składki i zajmował się zaopatrywaniem wojska w żywność, mundury i wypłacał żołd. Czuwał też nad bezpieczeństwem publicznem, bo wszelkie władze dotychczasowe zachowywały się neutralnie i chyba donosy czyniły do Poznania lub Berlina. Chociaż ja niby do kawalerji wstąpiłem, jednak żadnej czynnej służby nie czyniłem, tylko w komitecie pracowałem jako sekretarz. Używano mię też do przewożenia depesz; w przeciągu czterech tygodni byłem kilka razy w Poznaniu, jeżdżąc extrapocztą to na Książ to na Środę i Miłosław. Ostatni raz ledwo z Poznania się wydobyłem, bo po ogłoszeniu stanu oblężenia nikogo z miasta nie wypuszczano; tylko za pośrednictwem komitetu poznańskiego i za osobistem wstawieniem się Gustawa Potworowskiego generał Willisen udzielił mi kartę

legitymacyjną do wyjazdu z miasta. Zabrała się wtedy zemną ś. p. matka moja, by pogonić za Józefem, najmłodszym bratem moim, który uciekł rodzicom z domu. Udał się chłopiec piętnastoletni, małego wtedy jeszcze wzrostu i słabego ciała pieszo z kilku również dzieciakami do Środy, gdzie się także formował oddział zbrojny, sądząc, że tam odszuka brata Kazimierza i do jego dostanie się oddziału. Rzeczywiście znaleźliśmy go w Żrenicy pod Środą u Kaźmierza i udało nam się chłopca przekonać, iż nie zdatny jeszcze do ponoszenia trudów obozowych i żołnierskich powinien wrócić do szkół. To się też stało. W pierwsze święto Wielkanocne wysłano mię do Raszkowa z tajnemi rozkazami. Przybyłem do miasteczka około 10-tej przed obiadem i zastałem tam całą naszą siłę wojskową na rynku zgromadzoną dla wysłuchania mszy świętej. Chociaż się już rozniosła wiadomość, że Prusacy się zbliżają, by rozproszyć oddziały polskie, taka jednak nierozwaga i lekkomyślność panowała u naszych oficerów, że ja konno w mundurze uzbrojony w lancę, pistolety i pałasz nagle im się ukazałem na rynku, bo nigdzie nie były wystawione widety. Po nabożeństwie wszyscy żołnierze i starszyzna udali się do lokalów wyznaczonych na spożycie święconki. I mnie zabrano do Goldenringa, gdzie kilkadziesiąt oficerów i obywateli z okolicy wesoło zabrali się do śniadania. Po dwóch godzinach wręczono mi papiery dla komitetu Pleszewskiego i do Białoskórskiego wystosowane. Obawa co do napadu Prusaków niebawem w smutną zamieniła się rzeczywistość. W Odolanowie rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie; poczem zabrano w niewolę tak zwaną szkołę podchorążych w Pogrzybowie i uderzono na Raszkowo. Nasi się cofnęli do Pleszewa, a że równocześnie nadeszła wiadomość obombardowania miasteczka Książa, Białoskórski do Miłosławia cały swój oddział pospiesznym marszem wyprowadził. Manewr ten

strategiczny bardzo mu wielki zaszczyt przyniósł, bo zapobiegł nim odcięciu Pleszewiaków od reszty oddziałów polskich i przyczynił się do zwycięstwa odniesionego nad Prusakami pod Miłosławiem. Wyszliśmy z Pleszewa wieczorem około 6 godziny, ogółem może z 1500 ludzi, ze 150 konnych, z 200 strzelców a reszta kosynjerów. W ostatniej chwili przerzuciłem się z ułanów do strzelców. Droga wypadła nam na Jarocin; za miastem na gołem polu odpoczywaliśmy 2 godziny; w Żerkowie stanęliśmy o świcie i tam znów ze 2 godziny odpoczywano. Szlachetni obywatele miasteczka skoro i darmo zaopatrywali zmęczonych: czem mogli i osobliwie ciepłą kawą nas raczyli. Tymczasem ukończono na rzece Warcie zestawienie tratew i szczęśliwie przy odgłosie muzykantów, którzy nie wiem skąd się wzięli, przebyliśmy rzekę i stąd już bez przerwy przez Miłosławskie lasy zdążaliśmy do Miłosławia, gdzie od rana już wrzała bitwa, jak nas uchodzący z pola bitwy ranni i nieranni uwiadomili. Około 10-tej rano stanęliśmy strzelcy nad brzegiem lasu po wschodniej stronie Miłosławia kilka set kroków oddalonego od drogi do Bugaju. Ledwieśmy się pokazali, wysunęli się naprzeciw nam kirasjerzy, chcąc od Bugaju nas oskrzydlić. Bez komendy zaczęli niektórzy strzelać, co takiego napędziło pietrka kirasjerom, że zawróciwszy się galopem na następujące szwadrony huzarów uderzyli i tych przełamawszy już razem z nimi przez miasto uciekli i dopiero w Środzie się opamiętali. Ta haniebna ucieczka konnicy wielce przyczyniła się do podniesienia ducha w Polakach. Kłusem dopadliśmy do drogi Bugajskiej i zaczęliśmy ostrzeliwać artylerję pruską stojącą przy wiatraku i piechotę, która z winnicy nas parzyła. Właśnie gdym przykładał fuzję moją do twarzy, by wystrzelić ku piechocie, nagle prawa ręka mię opadła i zdawało mi się, że mnie ktoś z tyłu w plecy uderzył. Oto kula mnie ugodziła w obojczyk prawy

i ręką ruszyć nie mogłem. Nie pozostawało mi wtedy nic innego, jak wycofać się ze szeregu i udać się do lasu, skąd dopiero co wyszedłem. Tam było dwóch lekarzy polskich z Francji przybyłych. Położywszy mię na ziemię wierzchnią, część ciała mi obnażyli i opatrzyli mi ranę. Widziałem, jak głową kiwali litośnie nademną, ale nic mię to nie frasowało, bo obojętność wielka mię opanowała. Chcieli mię furmanką, co z nami z Pleszewa przybyła, odesłać do Pleszewa, na co się chętnie zgodziłem, bo miałem w Pleszewie kwaterę u adwokata Lisieckiego i przyjaciela lekarza Pokornego. Wsadziwszy mię na wóz i na słomie położywszy umieścili jeszcze obok mnie młodego rzeźniczka, rannego w nogę. We wsi Przechowie dla popaszenia koni stanęliśmy z godzinę; dowiedziawszy się, że Prusacy już lewy brzeg Warty obstawili, rady usłuchaliśmy, by dalej jechać aż do Pogorzelicy i tam popróbować przeprawy. Nadmienić muszę, że w Orzechowie niemiłe na mnie zrobiła wrażenie obojętność chłopców, którzy w karczmie bawili się w najlepsze i z uśmiechem nam rannym się przypatrywali. W dalszej drodze, wyjechaliśmy przez domenę, którą dzierżawił Niemiec Golz, wyszła żona jego do nas, kazała na prośbę moją przynieść świeżej wody do oblania nam ran i nakarmiła nas rosołem. Potwierdziła wiadomość o obsaczeniu lewego brzegu Warty i radziła mi udać się do Chrustowa, gdzie znajdę pomoc lekarską, ponieważ tam znajduje się poraniony p. Seweryn Mielżyński, który niezawodnie Miłosławskiego chirurga będzie miał przy sobie. Miłosierną Niemkę czule pożegnawszy w dalszą puściliśmy się drogę, ale jeszcze przed Chrustowem zaskoczyła nas noc. We wsi, której nazwisko zapomniałem, przenocowaliśmy u sołtysa, który z początku przyjąć nas nie chciał, ale ostatecznie uległ przedstawieniom żony, która mu niechrześcijańskie jego postanowienie ostro zganiła. Zniesiono nas z woza i na pościeli w środku izby na

rozesłanej słomie umieszczonej nas ułożono. Czuła Samarytanka całą noc nad nami czuwając ciągle oblewała rany nasze zimną wodą i rano polewką nas obdarzyła. Cieszyło mię, że mi prócz broni nic więcej nie zginęło; mogłem więc wsunąć pod poduszkę talara jako mały dowód wdzięczności mojej. Poleciwszy nas opiece Boskiej wyprawiono nas w dalszą drogę, ale i w Chrustowie jeszcze nie miała się zakończyć odysea moja. W Chrustowie bowiem prócz dziedzica już było sześciu rannych a miejsca więcej nie było. Wywieziono mię tedy do Miłosławia i umieszczono w pokoiku pod dachem u chirurga Brodsaka. Tu dopiero przed wieczorem we 27 godzin po odebraniu rany, chirurg wyciął mi kulę tkwiącą w mięśniu nad prawą łopatką. Dotychczas żadnego nie czułem bólu, (nawiasowo dodaję, że i przez dalszy ciąg kuracji tego nie było) nie miałem febry i byłem przy zmysłach, dopiero dnia następnego nastała gorączka, w której miałem ciągle głośno rozprawiać. Po tygodniu przeniósł się Mielżyński do swego pała- łacu i wtedy mnie zabrano do Chrustowa. Znalazłem tam dwóch kapitanów pruskich, lekko rannych, bo kula przeszła u nich tylko przez mięsień nie obraziwszy kości, Litwina Lipińskiego, który wyleczywszy się poszedł później do Węgier i tam miał zginąć, i Tchorzewskiego, który w kilka tygodni poźniej po odjęciu mu nogi umarł i Błociszewskich dwóch braci, z których jednemu rękę prawą, a drugiemu lewą nogę amputowano. Było mi w Chrustowie bardzo dobrze, ale gdyby przypadkiem nie był tam zjechał dr. Kunow, przyjaciel mój, który później osiadł w Trzemesznie jako lekarz, możeby i mnie byli wynieśli na cmentarz, bo lekarz szkoły francuskiej Dr. Smoliński ranę moją ciągle okładać kazał ciepłą kaszą, w skutek czego gnoić się zaczęła i tyle ropy śmierdzącej w niej się tworzyło, że po kilka razy na dzień sporo jej wyciekało. Dr. Kunow zaś zabronił przykładania kaszy a sondą przeko-

nawszy się, iż dużo kostek pokruszonych znajduje się jeszcze w ranie, przeciął mi ciało między raną pierwotną i blizną pozostałą po wycięciu kuli, w samym środku wydobył kilkanaście cząstek zgruchotanego obojczyka, kilka kawałków ołowiu i kawał sukna munduru mego. Gdyby to wszystko było pozostało w ranie, byłaby mogła gangrena się przyłączyć. Czyścił potem dr. Kunow ranę wstrzykując w nią wodę i przyczynił się tem do prędszego zagojenia rany, co pomimo to dopiero w listopadzie nastąpiło. Już w czerwcu z ręką na temblaku wychodzić mogłem, więc już w lipcu opuściłem Chrustowo i resztę lata i jesień do października przepędziłem u Brownsforda pod Środą i u Budziszewskiego Konstantego na folwarku pod Książem; bo dwór w Książu po zburzeniu go podczas szturmu na Książ jeszcze nie był odbudowany. Odzyskawszy siły dawniejsze podczas pobytu na wsi wróciłem do Poznania. Ze łzami w oczach przywitali mię rodzice, ale mnie ściskała serce myśl, że 28 lat mając jeszcze ciężarem jestem rodzicom. Wszelkie tedy starania czyniłem, aby jak najprędzej wyjść z domu i na własne postawić się nogi. Udało mi się zyskać miejsce guwernera w samym Poznaniu u państwa Brezów, pod temi samemi warunkami jak dawniej u pani Kossowskiej, synowi odwiedzającemu gimnazjum w niższych klasach miałem być stróżem w naukach i dwom pannom, z których starsza miała lat 13, a młodsza 9, udzielać lekcyj polskich. Skoro tylko się instalowałem u nich, zgłosiłem się ponownie w Wrocławiu do egzaminu, lekarskiem świadectwem niemożność składania egzaminu w lutym b. r. wytłumaczywszy. Przysłano mi prawie odwrotną pocztą znów dwa temata do wypracowań, które w przeciągu dwóch miesięcy wykończyć miałem. Siadłem tedy do pracy i w oznaczonym czasie odesłałem obie rozprawy, łacińską i niemiecką, prosząc o wyznaczenie mi terminu do ustnego egzaminu. Nim

prace moje skrytykowano upłynęło kilka tygodni, aż wreszcie wyznaczono mi termin na 17 marca. Tymczasem poznałem się z rodziną Broekerów, którzy sprzedawszy majątek swój sprowadzili się do Poznania. Okazało się, że pani Broekere, będąc panną, w trzeciej parze trzymała mię do chrztu w Międzyrzeczu, z którego to tytułu chętnie mnie przyjmowano w tej rodzinie, dosyć, że panna Marja, 20-letnia córka domu wpadłszy mi w oczy, gdym jej wyznał afekt mój, dzieląc uczucia moje, potajemnie się zemną zaręczyła. Nie śmiałem się odezwać otwarcie o jej rękę, bo przyszłość moja była niepewną jeszcze, i prosiłem ją o zamilczenie naszego stosunku, dopóki nie złożę egzaminu, zrobiwszy zarazem postanowienie, że w razie nieszczęśliwego wypadku, udam się do Węgier, gdzie wtedy wrzała wojna o niepodległość. 16 marca odbywałem lekcję próby w prymie gimnazjum św. Magdaleny w Wrocławiu, a dnia następnego odbył się egzamin w rejencji Wrocławskiej przy ulicy Albrechtowskiej; trwał od 3½ południa do 9 godz. Rezultat wypadł pomyślnie. Udzielono mi pozwolenie uczenia trzech języków, polskiego, łacińskiego i greckiego we wszystkich klasach gimnazjalnych, francuskiego w czterech niższych i historji i geografji w dwóch najniższych. Byłby rezultat w historji świetniejszy, gdyby mnie był egzaminował prof. Kutzen, ale tego nie było w Wrocławiu, bo go na sejm do Frankfurtu nad Menem, wybrano posłem, a zastępca jego prof. Roepell nie cierpiał tych, co u niego nie słuchali wykładów. Ale pomimo tego byłem kontent, bo po czteroletniej przerwie nauk i studjów nie spodziewałem się wcale facultas docendi w prymie. Szczęśliwy wróciłem do Poznania, już nie myśląc o pójściu do Węgier. Rozpocząłem zaraz urzędowanie moje jako candidatus probandus w gimnazjum s. Marji Magdaleny po Wielkiejnocy 1849 r. Starania u rodziców panny Marji wzięły pomyślny obrót; przyjęto mnie

i postanowiono dzień ślubu wyznaczyć, skoro tylko dostanę się na etat. Aby ten termin przyspieszyć, zgłosiłem się do Chełmna, gdzie nową posadę nauczycielską utworzono z warunkiem, że nauczyciel mający być powołany ma też udzielać lekcyj języka polskiego. Bez najmniejszej trudności przyjęto mnie do Chełmna, wyznaczając mi zaraz od samego początku 20 tal. miesięcznej pensji i obiecując awans prędki. To było więcej, niż się spodziewać mogłem i z spokojnym umysłem patrzeć mogłem w przyszłość. Powitano mię zaś w Chełmnie z jednej strony nadzwyczaj mile, z drugiej strony zaś z pewną obawą i niedowierzaniem. Sam dyrektor, dawniejszy nauczyciel mój z Poznania, dr. Łożyński jak przyjaciela przyjął, stancję w tym samym domu, w którym sam mieszkał, u teścia swego, dla mnie był najął i wszelkie ułatwienia, wszelką pomoc obiecywał; ks. lic. A. Knast [7]), profesor religji i hebrajskiego języka, ks. proboszcz lic. Bartoszkiewicz, [8]) obydwaj Poznańczycy, pierwszy z Witkowa, drugi z Pobiedzisk rodem, otwartemi przyjęli mię rękami. Niemcy koledzy jakby zagniewani na rząd, że mię powołał a mnie lekceważąc sobie, bo sądzili, żem tylko do udzielania polskiego języka wyznaczony zawsze najniższe miejsce będę zajmował, bardzo zimno względem mnie się zachowywali. Ze wszystkich stron państwa pruskiego do Chełmna sprowadzeni, gdy tu w r. 1837 nowe założono gimnazjum od razu ze wszystkiemi klasami, w jednem uczuciu się zgadzali, to jest w nienawiści ku Polakom. Prof. Funck, matematyk, Nadreńczyk z Bonn [9]), już gdzie indziej dla jakiejś brudnej sprawki z urzędu wydalony, tu dla kształcenia Polaków za dobrego uznanym został; Dr. Wese-

---

[7]) ur. 1814, stud. w Berlinie i Wrocławiu, redaktor Szkółki Narodowej, um. na cholerę 1852. [8]) ur. 1813, stud. w Wrocławiu, prob. w Chełmnie od 1846, w Szynychu od 1872, kan. hon. chełmiński, um. 1900 r. [9]) w Chełmnie od 1837, emerytowany 1876.

nen, filolog, drab wysoki, bez najmniejszej towarzyskiej ogłady, przybył z Westfalji [10]). Dr. Seemann [11]), dawniej żydziak z Berlina, posiadał wszystkie cnoty żydowskie: był obrotny i każdemu pochlebiał, ale zdatnym był Einpaukerem, Dr. prof. Braun z Warmji [12]) tęgi łacinnik, w mniejszej mierze okazywał swą polakożerczość. Dr. Eichholz z Prus Wschodnich [13]), filolog słaby i naturalista, żadnej nie umiał nadać sobie powagi; Dr. Luke, Westfalczyk [14]), drugi matematyk, więcej polowaniem na zwierzynę i kieliszkiem się zajmował, niż naukami; Dr. Lilienthal, młody człowiek z Prus Wschodnich [15]) niemieckiej udzielał literatury, mniej wybitny agitator. Był jeszcze nauczyciel techniczny od rysunków i kaligrafji, Polak Długosz [16]), dusza człowiek, niskiego wzrostu z dużym brzuchem, którego wszyscy lubili, ale najmniejszej nie posiadał powagi u uczniów, i p. Trautmann [17]), Niemiec do śpiewu i rachunków w dwóch niższych klasach. Gdy mi dyrektor prócz polskich lekcyj, 2 w połączonej prymie wyższej i niższej, a w dwóch sekundach i 2 w dwóch tercjach powierzył jeszcze łacinę w kwarcie i Homera w sekundzie wyższej, rozdziawili wszyscy buzie i sądzili, że gimnazjum upadnie, że Polakowi powierzono te lekcje, ale pomiarkowawszy niebawem, że umiem sobie dać radę a uczniowie mię polubili, już nie tak hardo spoglądali na mnie jak-

---

[10]) Urodzony w Reklinghausen, w Chełmnie profesor od 1839, później dyrektor gimnazjum w Fuldzie. [11]) Jan S., syn rodziców żydowskich, którzy około r. 1825 w Brunsberdze przeszli na wiarę katolicką, od założenia katol. gimnazjum w Wejherowie 1857 pierwszy jego dyrektor, um. tamże na emeryturze „starokatolikiem” 1894 r. Pochodził ze Swiecia n/W. (Dop. X. M.)

[12]) Z Licperka, od 1856 dyr. gimn. w Brunsberdze. [13]) z Fromborka, emeryt. 1854, um. 1862 w Chełmnie. [14]) uczył w Chełmnie od 1844 do 1862 r., umarł tegoż roku w Wisłoujściu na cholerę. [16]) Ślązak z pow. sycowskiego, uczeń gimnazjum kaliskiego i uniw. warszawskiego, od 1842 naucz. gimn. chełmińskiego. [17]) kompozytor, naucz. zakładu kadetów, od 1838 gimn. chełmińskiego. (Dop. X. M.)

by na jakiego intruza niegodnego. Karjera moja posunęła się w przeciągu lat 25 aż na pierwsze miejsce nauczycielskie, co prócz zaświadczenia i nie chwaląc się, prócz pedagogicznego taktu w niemałej części winienem też był szczęśliwym okolicznościom, że p. Brauna wzięto do Brunsbergi na dyrektora, Seemanna do Wejherowa a Wesener wrócił do Westfalji. Euchholz i Luke i Lilienthal pomarli, tak tedy posuwałem się bardzo prędko i tylko raz jeden starszego wiekiem i urzędem przedemnie usunięto. Po 25 latach przepędzonych w Chełmnie posłano mnie na 1-go nauczyciela do Chojnic, gdzie aż do emerytury mojej, która w r. 1887 nastąpiła, pozostawałem; poczem przeniosłem się do Wrocławia.

Wracam teraz w opisie moim do owej chwili, gdym w Poznaniu siadł do woza pocztowego, by udać się do Chełmna. Nie było wtedy jeszcze kolei żelaznej, więc wlokła się poczta, gdzie była żwirówka trochę prędzej, na zwyczajnej drodze zaś wolniej. Jechało się na Wągrowiec i Kcynię do Bydgoszczy, stąd na miasto Świecie do Chełmna. Nudną jazdą znośniejszą tylko uczyniła ciekawość moja oglądania nowych okolic. Pod Rogóźnem np. zobaczyłem w lesie straszne skutki orkanu, jaki kilka miesięcy temu ze zachodu ku wschodowi pędził pasem szerokim na 30 kroków prawie. Wszystko co w tym pasie spotkała szalona burza, łamała i uniosła najgrubsze sosny we wysokości kilku łokci od ziemi były przełamane; wierzchołki już były z lasu wywiezione, same pnie sterczały jak stojące trupy, tem przeraźliwszy sprawiając widok, żeśmy nocą dosyć ciemną je zobaczyli. Ten sam orkan zmiótł wtedy dwie wieże z ewangelickiego zboru w Bydgoszczy. Widok Świecia również mnie uderzył z rozwalonemi swemi murami, które na 5 do 7 stóp szerokości broniły dawniej miasto od najazdów nieprzyjacielskich, i z krzyżacką wieżą swoją do dziś dnia stojącą. Ze Świecia milową jeszcze przestrzeń, przez niziny piaszczyste, pełne do-

łów przez wodę utworzonych przebyć należało, nim do Wisły się dojechało. Promem tak zwanym latającym przewóz nie trwał długo; dobiliśmy do wyspy, czyli ostrowu wiślanego, przez którą, choć ledwie kilometr jeden szeroką dla głębokiego piasku z pół godziny się jechało aż do Popówki, odnogi Wiślanej dość szerokiej i dopiero tę zwyczajnym promem przebywszy, stanęliśmy pod górą, na której Chełmno się wznosi. Pod stromą górę prowadziła ulica brukowana ciągle wyżej się wspinając aż do grudziądzkiej ulicy; tam dopiero po równi skręca droga ku rynkowi. Była godzina czwarta po obiedzie, gdym wreszcie stanął w oberży „pod czarnym orłem“ w rynku i pokrzepiwszy się resztkami obiadu pozostałego i przebrawszy się mógł pomyśleć o złożeniu uszanowania mego Łożyńskiemu. Ten ucieszony i uradowany, że Polaka dostał do kolegjum nauczycielskiego, natychmiast mię umieścił w stancji, jak wyżej wspomniałem, dla mnie upatrzonej; ponieważ cała moja garderoba, książki i inne drobiazgi w dwóch kuferkach się mieściły, rozkładanie i umieszczenie rzeczy nie wiele mi czasu zabrało i jeszcze tego samego dnia mogłem kilku panom kolegom oddać wizytę. Dwa dni później rozpocząłem mój zawód nauczycielski w Chełmnie i nie pożałowałem nigdy, żem się z Poznania wyprowadził. Na Wielkanoc 1850 r. gdy podwyższono mi pensję do 400 tal., na rok, wziąwszy urlop dwutygodniowy wyjechałem na ślub. Odbył się zamiast w Poznaniu, jak nasamprzód postanowiono, dla nieprzewidzianych trudności w pogrzybowskim kościele pod Roszkowem w drugi tydzień po Wielkiej Nocy, poczem dwa dni później już z żoną wracałem do Chełmna, jadąc na Poznań, abym żonę rodzicom, jej wujowi Aleksandrowi Brudzewskiemu i jej ciotce, pani Węsierskiej z Napachania, ale mieszkającej w Poznaniu, bo mąż jej był radcą ziemstwa, przedstawił. Oddawszy spory kufer, w którym się ca-

ła wyprawka Maryni znajdowała, spedytorowi dla odstawienia mi go w Toruniu, ponieważ po za Toruniem już nie miał stosunków, wyjechaliśmy błogosławieni przez rodziców pocztą do Torunia. Tam po odebraniu kufra nająłem furmankę do Chełmna i wyjechawszy o pierwszej rano około siódmej godziny stanęliśmy szczęśliwie w Chełmnie przed mieszkaniem mojem na Wiatrakowej ulicy. Wielką i bardzo przyjemną niespodziankę zastaliśmy w stancji. Otóż znajome rodziny polskie (Gółkowscy,[18] Rybińscy i innych wiele) zaopatrzyły kuchnię, sklep i śpiżarnię w liczne, najpotrzebniejsze przybory (nie brakło drzewa, krup rozmaitych, wędlin, kilkanaście sprzętów kuchennych i naczyń), a w pierwszym pokoju ustawili altankę przystrojoną we wieńce z mchu i w altance stolik z dwoma krzesłami i przyrządem do kawy lub herbaty z dwiema łyżeczkami, cukierniczkę szklaną z cukrem, puszkę herbaty, butelkę rumu z pudełkiem cygar. Na stole leżał wiersz napisany przez Rybińskiego, zawierający życzenia gorące dla młodego stadła. Przyjęcie takie nietylko mnie ale i Marynię w najlepszy humor wprawiło i odrazu jej dało wyobrażenie o stosunkach przyjaznych, w jakie się dostanie. Naczytałem się dużo o słodyczach miodowego miesiąca, ale przyznać się muszę, że u mnie ten miodowy miesiąc trwał do samej śmierci ś. p. Maryni przez lat 15 i miesięcy 3. Tak łagodnego usposobienia i tak do wszystkiego dająca się nakłaniać, takiego zgodnego sposobu myślenia była Marynia, że zupełnie szczęśliwym się czułem; szkoda tylko, że nieszczęśliwy przypadek na kępie chełmińskiej, gdy bawiąc się w gonionego upadłszy mocno się stłukła, pozbawił ją i mnie nadziei ucieszenia się kiedykolwiek potomstwem. Po kil-

---

18) Józef Gółkowski, syn dziedzica Klęczkowa, od 1848 zasłużony drukarz i wydawca w Chełmnie, ożeniony z Józefą Działowską, teść Ign. Danielewskiego i Józ. Chociszewskiego, um. w Chełmnie r. 1871. (Dop. ks. M.).

kodniowej chorobie wstała niby zdrowa, ale odtąd nawiedzały ją bardzo często kurcze. Wzrostem dorównywała mnie prawie, nie powiem by była pięknością, ale słodka i miła wrodzoną godnością wszystkich czarowała i przez wszystkich, co ją poznali, była ceniona i lubiana. W owych latach nadzwyczajna panowała taniość, np. funt masła kosztował od 25 do 30 łut — dzisiejszych fenigów, czyli jak dawniej mówiono, od ósmaka do trzech trojaków, a funt mięsa nie wiele droższy był; za stancję płaciłem 70 talarów, a miałem salkę o trzech oknach, pokój duży o dwóch, a dwa spore pokoiki, każdy o jednem oknie; prócz tego dużą, jasną kuchnię, sklep, komorę i śpiżarnię. W przeciągu lat 25 zmieniałem trzy razy stancję, ale nad 130 talarów nigdzie nie płaciłem. Żeby nam przyjść finansowo w pomoc oddali nam rodzice żony natychmiast po ferjach w pierwszym roku małżeństwa naszego na stancję swą córkę najmłodszą dwunastoletnią Michalinę, aby w Chełmnie do szkół chodziła. Była u nas trzy lata i wyrosła na piękną panienkę, ale już w drugim roku po powrocie do domu nagle umarła, zapewne wskutek stłuczenia głowy, gdy ze sanek na stoś kamieni wypadła [19]). Mieliśmy też pensjonarzy np. Antoniego Kalksteina z Pluskowęs pod Chełmżą [20]). dwóch Sampławskich, synów p. Karola Sampławskiego [21]) z pierwszego małżeństwa. Steinborna z Kujaw, Karola Żychlińskiego z Twardowa pod Pleszewem i kilku innych. Dochód tym sposobem pomnażany pozwalał na większe wygody i na podróże częste. Co ferje wyjeżdżaliśmy do Łabiszynka pod Gniezno, gdzie rodzice

---

[19]) Bliskim krewnym żony prof. Węclewskiego był też maturzysta chełmiński z r. 1861 Antoni Broekere, powstaniec 1863, długoletni lekarz w Śremie, um. 1909 r.

[20]) Syn Karola († 1862), poseł, ożeniony z hr. Sierakowską z Waplewa, um. czasu wojny światowej w Hiszpanji.

[21]) Brat Ksawerego, kanonika hon. chełmiń., prob. radzyńskiego, dziedzic Zaskocza, radca ziemstwa.

żony mieszkali, bywaliśmy w Poznaniu na Sylwestra, na imieninach ś. p. ojca mego i u wód w Landeku na Śląsku i u wód morskich w Heringsdorfie. Pensja moja doszła w Chełmnie do 1300 tal. rocznie. Jako nauczyciel wyższy, którym już w piątym roku urzędowania mego zostałem, byłem obowiązany podawać rozprawy do programu nauczycielskiego. Wymienię tu natychmiast prace, jakie w Chełmnie do druku podałem, 1. po niemiecku: Ueber das polnische Lautsystem r. 1853 w programie; 2. po łacinie: de Polonorum cultu et humanitate decimo sexto et ineunte decimo septimo saeculo exteris testibus et arbiris advocatis r. 1859. 3. Flis Klonowicza r. 1862. 4. Sielanki Szymonowicza r. 1864. 5. Simon Maricius. Ein Beitrag zur polnischen Litteraturgeschichte 1872 [22]). Wspomnieć mi też należy, że za mojem staraniem sprowadziła się panna Florentyna Synoradzka i założyła tu pensję dziewcząt w dwóch oddziałach polskim i niemieckim, a każdy z trzema klasami. Prosperowała ta pensja przez cały dziesiątek lat; dawałem w niej tygodniowo 7 lekcyj: historji polskiej i powszechnej, geografji polskiej i powszechnej, literatury polskiej [23]). Wracając r. 1862 z Poznania, dokąd jeździłem na 50-letni jubileusz ś. p. ojca mego, tak mocno się zaziębiłem, żem zaczął krwią pluć i nogi mi puchnąć zaczęły. Leczono mię niby na suchoty i wysłano po dwakroć do wód, naprzód do Kissingen a potem do Soden; wody nie......

Na tem urywa się tekst autobiografji, pisanej ręką ś. p. stryja mego między r. 1889 a 1891 —

---

22) W Chojnicach wydał 1875: De Platonis Euthyphrone (progr. gimnn.).

23) Fl. S. objęła zarząd pensjonatu ziemskiego po Anast. z Czarlińskich Pospiszelowej. 1855 były 3 klasy z równoległemi oddziałami pol. i niem. Liczba uczenic około 80—90. Sił nauczycielskich włącznie dyrektorki 11, z prof. gimn. uczyli Węclewski, Seemann, Reyzner i Altendorf. (Dopiski ks. M.).

częścią we Wrocławiu a częścią u wód morskich Nowyport. Dla uzupełnienia dodać należy, że prof. Węclewski, po utracie pierwszej żony zawarł ponowny związek małżeński w r. 1866 z Wiktorją Ginterówną. Przeszedłszy na emeryturę — przeniósł się do Wrocławia w czerwcu 1887 r. Tu zamieszkali stryjostwo nasamprzód przy Grabschenerstr. 41, a następnie przy Kaiser-Wilhelmstr. 16, utrzymując ożywione stosunki towarzyskie z tamtejszą Polonją. Zapisków z tych ostatnich lat żadnych niema, a byłyby ciekawe już z tego względu, że do najszczerszych przyjaciół i częstych gości należał prof. Władysław Nehring. Zmarł stryj d. 3 kwietnia 1893 r. — pochowany jest we Wrocławiu, potomstwa nie zostawił. Wdowa sprowadziwszy się do Poznania, oddała nam wszystkie rękopisy, a mianowicie „Kronikę rodziny Węclewskich", która prócz tej autobiografji obejmuje wspomnienie o Widziszewie, gnieździe rodzinnem Węclewskich, życiorys Zygmunta Węclewskiego, profesora przy Szkole Głównej w Warszawie a następnie przy uniwersytecie lwowskim, Kazimierza, właściciela Lubowie i najmłodszego z rodzeństwa, śp. ojca mego, Józefa, adwokata i notarjusza w Środzie. Nadto przechowała się część wykładów o literaturze polskiej 16 wieku, głoszonych w Chełmnie w r. 1861/62, „Wiadomości z bibljoteki mojej", (Zwierzyńca Rejowego z r. 1574 dokładny opis) różne notatki w książkach, kilka ciekawych widoków miasta Bonn z r. 1842 oraz wizerunki kolegów uniwersyteckich. W „Tece Węclewskich" są również drukowane feljetony z Gońca Polskiego r. 1851, (nr. 122/3/) zawierające artykuł Stanisława W. „Źródła do dziejów i rzeczy polskich".

Podaję tu również wiersz łaciński prof. Zygmunta Węclewskiego, napisany w r. 1864 na dzień urodzin brata ku pociesze po stracie żony. Chociaż wiersz ten nie przynosi nowych do biografji Stanisława szczegółów, zasługuje na uwa-

gę jako streszczenie jasne jego prac i planów. Jest to odpis ze zbioru niewydanych pism prof. dr. Zygmunta Węclewskiego, przechowanego w bibljotece Uniw. we Lwowie pod I/1139/I.

Wiersz ten — w swobodnem tłumaczeniu we formie oryginału tj. strofach asklepjadejskich — pióra dr. Tadeusza Węclewskiego, syna autora, brzmi: Na uroczystość dnia urodzin (Sollemnia Natalitia).

Dzień urodzin jest dziś brata Kastalskich muz,
Ze mną razem więc ty, synu Serneli, święć:
Dzień ten brata mojego
Jak wypada, spełnieniem trzech

Kubków, jemu na cześć — wina z węgierskich wzgórz.
Muzy, raczcie mi snuć myśli szczęśliwy tok,
Abym złożył z nich wdzięczny,
Godny dnia Stanisława wiersz...

Życie ludzkie ma nurt przykry i pełen burz,
Płynie nieraz wśród strat i uporczywych walk,
Parki jednak uprzędą
Tobie długą żywota nić.

A gdy znaczy co głos przeczuć, nadzieji twych
Będzie stałe już twe szczęście i sprzyjać ci
Bo doznaniem nieszczęścia *)
Nasyciłeś zajadłość serc.

Znów we władzę więc bierz masy szanowne dusz,
Które wezwać ci ból wzbraniał przez długi czas
I wyprowadź z grobowców
Przejednawszy je hołdem swym.

Obowiązki te ziść, których potomny ród
Już zapomniał, bo spraw słusznych nie umie czcić:
Zbożną pamięć przechować
Uświęconych wybrańców muz.

Niech przyniosą Ci blask sławy i wieczną cześć
Niechaj wyjdzie na jaw zacny Klonowicz znów
I wrócony na światło
Szymonowicz niech rzuci mrok.

Ten, co stworzył nam pieśni, której wtórował flet
Wiejski, z trzciny, jak piał niegdyś Wergili mistrz;
Dał nam w mowie ojczystej
Pieśni wieszcza sycylskich pól.

---

*) Strata żony.

Słuchaj! Plony twych prac chce Kochanowskt znać;
Czy nie słyszysz, że wciąż zrzędzi Marycjusz tak:
„Kiedy skończysz, coś zaczął,
„Coś porzucił przez tyle dni?"

„Przecież dawno twój brat skarży Marycjusz znów —
„Już wyciągnąłby mnie z toni stygijskich wód
I cieszyłbym ludzi,
Ale — nie chce do siebie przyjść!"

Więc do siebie znów przyjdź! — W tem jest zbawienie twe,
Wtedy będzie twój blask sławy wieczyście trwać,
Póki rodu Polaków,
Jego nazwy nie zniszczy śmierć.

Warto w końcu przytoczyć kilka szczegółów z nekrologu przedrukowanego w „Dzienniku Poznańskim" z „Gazety Toruńskiej", pióra Ignacego Danielewskiego, oświetlających niewspomniane w autobiografji momenty. Czytamy tam: „Jako długoletni sekretarz i kasjer główny Tow. Pomocy Naukowej w Chełmnie, które to urzędy objął po Ludwiku Ślaskim, położył W. także niemałe zasługi a widział, że niemile mu to poczytywanem bywa u góry do tyla, że to właśnie stało się zapewne głównym powodem przeniesienia go z Chełmna do Chojnic, przez co na stare już lata wyrwany został z dawnych serdecznych stosunków przyjacielskich i pokrewieństwa."

I dalej: „Wielki znawca naszej bibljografji chodził po dworach i kościołach całej naszej prowincji, zbierając zabytki stare druków naszych, które gromadził dla własnego studjum i ratowania ich od zagłady. Z takich białych kruków zdobi niejeden wielkie książnice nasze, jak Zwierzyniec Reja Bibljotekę Kórnicką, Żywot Pana Jezusa przez Opecia i inne — bo tam on je umieszczał. Resztę swojej cennej bibljoteki przekazał i oddał jeszcze za życia Towarzystwu Naukowemu w Toruniu.

Marzył o napisaniu czegoś specjalnego o Prusach Zachodnich. Piszącemu to danym był także w tem udział a zapiski dość obszerne są dotąd z jego wolą w moim ręku."

Danielewski kończy nekrolog Węclewskiego temi słowy: Kładę mu tutaj, co chciał mieć na grobie, co często ze mną powtarzał i śpiewał nawet:

Tyle tylko życzę sobie,
Niech krzyż stawią na mym grobie,
A osoby w życiu miłe
Zleją łzami mą mogiłę.
To czynię choć z oddalenia.

Ignacy Danielewski.

Na tem i my kończymy. Co stało się z zapiskami, tyczącemi się Prus Zachodnich, o których wspomina Danielewski, czy je wyzyskano lub złożono tak jak bibljotekę Węclewskiego w Tow. Naukowem w Toruniu — nie jest nam wiadomem.[24]).

Róża z Węclewskich Erzepkowa.

---

[24]) Ś. p. Ignacy Danielewski złożył je 1906 r. za pośrednictwem ks. A. Mańkowskiego w zbiorach Tow. Naukowego w Toruniu.



Skorowidz

A. Miejscowości

B. **Osób**

C. Rzeczy